

Mirosława Pałaszewska

Zofia Kossak w latach II wojny światowej

Niepodległość i Pamięć 2/3 (4), 49-94

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Mirosława Pałaszewska

Zofia Kossak w latach II wojny światowej

WRZESIEŃ 1939 r.

Z zachowanej korespondencji do Józefa Birkenmajera wynika, że jeszcze 11 sierpnia 1939 roku Zofia Kossak była w Warszawie. Poprzedniego dnia jej mąż Zygmunt Szatkowski wyjechał służbowo do Paryża z misją wojskową na trzy tygodnie. Pani Zofia miała szaloną ochotę także wyjechać do Francji, ale ponieważ czasy były niepewne, wołała zostać z resztą rodziny. *Oczywiście płaczę, że wypadło to w takim czasie, iż nie mogę pojechać razem z nim. Taka okazja! Ale trudno. Wobec sytuacji politycznej nie sposób zostawić rodziny na niepewne losy możliwej wojny i ewakuacji.* A trzeba mieć świadomość, że pisarka zdała sobie sprawę z "przyjaznych" uczuć Niemców wobec niej, zwłaszcza za twórczość poświęconą polskości Śląska.

Pani Zofia pojechała do Górek prawdopodobnie 17 sierpnia. Jak wspomina córka Anna, rodzina Szatkowskich spędziła wakacje, a ściślej drugą połowę sierpnia 1939 roku (ale chyba po 17 sierpnia), w Zakopanem. Na wypoczynek pojechali tam Witold i Anna w towarzystwie kuzynostwa Glinków (Irena Glinczyzna była rodzoną siostrą Zygmunta Szatkowskiego). Były to ostatnie wakacje dzieci przed pójściem do szkoły. Od 1 września zarówno Witold, jak i Anna mieli chodzić do warszawskich szkół.

Podczas wyprawy na Świnicę dowiedzieli się o ogłoszeniu powszechnej mobilizacji. Pani Zofia z miejsca zdecydowała, że szybko wrócą do pensjonatu, spakują bagaże i spróbują dostać się do Górek.

Na zakopiańskim dworcu panika ogarnęła wszystkich. Każdy chciał jak najprędzej wyjechać. *Po raz pierwszy - wspomina Anna - widziałam obraz, który miał się tak często powtarzać przed moimi oczami w najbliższej przyszłości: obraz obłożonego pociągu. Na szczęście dla nas, na pociąg do Bielska nie było tak dużo chętnych jak do Krakowa. Dotarliśmy bez przeszkód do Górek, gdzie zaczęła się akcja pakowania wszystkich wartościowych sprzętów i przedmiotów, artykułów pierwszej potrzeby, dużo papierów i książek Mamy. Z tym wszystkim posłano furmankę do Skoczowa; my zaś, razem z Babcią Kossakową, pojechaliśmy nocnym pociągiem do Warszawy. Żegnali nas w płaczu wszyscy domownicy dworu, który, jak się miało okazać, opuszczaliśmy na zawsze.*

W Warszawie byliśmy już 30 sierpnia. [...] W domu zastaliśmy Ojca, bardzo zmęczonego i zaniepokojonego po powrocie z Francji. Przyjechał parę godzin wcześniej, jadąc przez Jugosławię i Rumunię, ponieważ przejazd przez Niemcy już był niemożliwy. Zawsze wyrażał

się pesymistycznie co do polskich szans w razie konfliktu z Niemcami, za co otrzymywał na ogół reprimendy w tzw. towarzystwie. Teraz był zupełnie zatamany; chwilę porozmawiał z Mamą i zaraz wyszedł. Przyszedł z powrotem na drugi dzień i znów prędko wyszedł. Jak się pokazał następnego dnia, Warszawa przeżywała już pierwsze naloty. Miał wiadomość z Bydgoszczy, że Niemcy szczególnie ostro traktują rodziny polskich oficerów: przyszedł powiedzieć, że trzeba wyjechać z Warszawy, co zrobiliśmy tym chętniej, iż coraz więcej samolotów warczało nad miastem, a już zupełnie przestało nas bawić wycie syren alarmowych, schodzenie do piwnicy, zakładanie masek przeciwgazowych i innego rodzaju atrakcje. Była groza.

Ponieważ wszystkie nasze kufry z Górek spaliły się na dworcu Warszawa Główna, nie było kłopotu z wybieraniem potrzebnych rzeczy. Pojechalśmy furmanką do Suchej koło Biało-brzegów, gdzie znajdował się majątek Ginków.

W warszawskim mieszkaniu pozostał Tadeusz Szczucki, który wziął udział w obronie Warszawy. Zdążył się jednak przeziębnić i miał silne bóle reumatyczne. Na szczęście była także z nim gospośnia Helena Podlaska, więc miał opiekę.

W Suchej znalazła gościncę także Maria Szustrowa (siostra Zygmunta Szatkowskiego i Ireny Glinczyzny). Po kilku dniach pobytu w Suchej postanowiono ruszyć na wschód. Jako cel podróży wybrano Dolsk (w Hrubieszowskiem), gdzie mieszkali hrabiostwo Stadion-Rzyszczewscy. Ostatnim właścicielem Dolska do 1939 roku był syn Fryderyk, Józef Stadion-Rzyszczewski, żonaty z Rumunką, Genowefą Bibesco.

Cała grupa wyruszyła 5 września dwiema furmankami. Oddajmy głos Annie: *Szefem ekspedycji była Mama. Wykazywała pełne opanowanie, dużo spokoju i nawet - pogody ducha. Droga zrobiła się prędko nudna. Przed nami wóz, za nami wóz i tak kilometrami ciągnęła się taśma wozów ze skulonymi postaciami i kopami bagażu. Co jakiś czas ukazywał się pozostawiony w rowie z powodu braku benzyny automobil. I tak kotylaliśmy się w nieustającym skrzypieniu kół i dudnieniu końskich kopyt.*

W okolicy Radzyna uciekinierzy znaleźli się pod obstrzałem samolotów. Bomby padały gęsto. Miasteczko płonęło. Pani Zofia poleciła furmanom zjechać do lasu. Teraz uciekali głównie nocą przez pola i lasy.

Pewnego dnia dotarli do wielkiego i pięknego pałacu. Wszyscy zmęczeni i głodni. Pani Zofia udała się do pałacu, aby dowiedzieć się kto jest właścicielem. Lokaj udał się do pani hrabiny z pytaniem, czy może ich przyjąć. Po chwili powrócił i przekazał, że pani domu nie życzy sobie ich wizyty. W uchylonych drzwiach pojawiła się i właścicielka dodając, że nie może wpuścić całej tej grupy, bo pobrudzą jej posadzki. Ironiczny śmiech był odpowiedzią. Cóż mieli robić? Jechali dalej żywiąc się zrywanymi na polach burakami.

Mama - wspomina dalej Anna - imponowała mi sposobem, w jaki podchodziła do ludzi, niezależnie od ich stanu wykształcenia, wyglądu. Wykazywała niebywałą serdeczność i bezpośredniość, troszczyła się nie tylko o nas, ale w ogóle o każdego spotkanego po drodze człowieka. Jej obecność była kojąca i uspokajająca.

Po wielu trudach cała wyprawa dotarła do Dolska wieczorem 15 września. Pałac i park były już zajęte przez innych uciekinierów. Pani Zofia z krewnymi otrzymała lokum pod schodami w hallu.

17 września po wkroczeniu wojsk radzieckich do Polski zdecydowano o powrocie do Suchej. I znowu trudy podróży w ciężkich warunkach. Do celu dotarli 6 października. Pani Zofia od razu ruszyła do Warszawy a w Suchej pozostała babcia Kossakowa z Anną i Witoldem.

W mieszkaniu przy ul. Idźkowskiego zastała ciężko chorego Tadeusza oraz informację od Kossaków z Krakowa, że jej mąż dostał się do niewoli 20 września i przebywa w obozie pod Krakowem.

Następnego więc dnia pani Zofia wybrała się wraz z Heleną Podlaską do Krakowa, a Tadeusza wysłała do Suchej. Obie panie wyruszyły w podróż na rowerach. Jechały w fatalnej, deszczowej pogodzie, po zniszczonych drogach. Kiedy wreszcie przybyły do Krakowa, udały się na Kossakówkę. Przybyły tuż przed godziną policyjną, więc nie mogło być mowy o próbie spotkania się z mężem. Rankiem następnego dnia udała się do obozu. Nie zobaczyła już małżonka. Okazało się, że poprzedniego dnia wszystkich jeńców wywieziono. Zygmunt Szatkowski znalazł się w obozie jenieckim w Murnau, gdzie przebywał aż do wyzwolenia w 1945 roku. Spotkał tam kuzyna Stefana Skarzyńskiego (męża Joanny Kossak, córki Stefana, który był bratem ojca pani Zofii). Ale to są sprawy późniejsze. Zofii Kossak nie pozostało nic innego jak powrócić do Warszawy.

Anna Kossakowa wraz z wnukami przebywała w Suchej u Glinków. Dość szybko zakwaterowali się tam Niemcy. Jeden z oficerów był bratankiem lub siostrzeńcem Adolfa Hitlera. Glinkowie poprosili go o informację o losach Jana Szustra (męża siostry Zygmunta Szatkowskiego). Okazało się, że tak jak Zygmunt został internowany i osadzony w oflagu. Kiedy wiosną 1940 roku Wehrmacht opuścił Suchą, pan Glinka został aresztowany. Pani Zofia zabrała więc swoje dzieci i zawiozła je do swojej przyjaciółki Hanny Sadowskiej do Gór (gmina Promna, koło Białobrzegów). Sama została w Warszawie, ale wpadała do Gór.

W KONSPIRACJI

W końcu października lub na początku listopada 1939 roku spotkała na ulicy Aleksandra Kamińskiego, którego znała z Górek. Właśnie w Górkach mieścił się ośrodek harcerski, kierowany przez Kamińskiego od 1935 roku. Spotykali się dosyć często. Pani Zofia bywała u harcerzy, a Aleksander Kamiński odwiedzał pisarkę w dworku. Teraz właśnie po podjęciu pracy w redakcji "Biuletynu Informacyjnego" poszukiwał lokalu.

Pani Zofia z miejsca zaproponowała mu swoje mieszkanie. Okazało się, że z jej gościnności korzystał już historyk, profesor Zygmunt Wojciechowski z Poznania. Prawdopodobnie w tym mieszkaniu został powielony pierwszy numer "Biuletynu Informacyjnego", redagowanego przez Aleksandra Kamińskiego. Na jego prośbę pani Zofia napisała mu kilka artykułów (m.in. opracowanie o wysiedleniach w Wielkopolsce, które miało iść do Londynu), a nawet została "korespondentem" "Biuletynu", relacjonując co tydzień wydarzenia w świecie literackim.

Jak wyglądał jej ówczesny dzień powszedni? Posłuchajmy relacji Aleksandra Kamińskiego: *Wstawiała w domu pierwsza i niemal codziennie, gdy jeszcze wszyscy spali, wychodziła na poranną Mszę św. do kościoła na Solcu. Wróciwszy zabierała się do przygotowywania śniadania dla domowników; gdy wstawaliśmy - czekało już na nas w kuchni (która była*

zarazem jadalnią) - prościutkie, niewymyślne, oszczędne, ale zawsze gorące, pachnące mlekiem, marmoladą, świeżym chlebem. Zawsze też pani Zofia zostawiała mleko i gotowaną wodę w piecyku, aby były gorące, gdy przyjdzie gość.

Dość częstym gościem porannym była sekretarka "Biuletynu Informacyjnego" Maria Straszewska, przynosząca mi służbową korespondencję. Pani Zofia witała ją jak każdego gościa uśmiechem i jedzeniową propozycją: - Droga Anno (od pierwszego dnia zaczęła mówić do gościa jak do kogoś bliskiego), co wolisz - kawę czy herbatę? Śniadanie gotowe!

Mówiła tak i podobnie do każdego gościa - bez czułości, ale z wyrazem troski i z chęcią dobrego czynienia. "Anno, masz liche sweterek - ja mam kilka bardzo ciepłych i dość eleganckich, jak się zdaje. Dam ci chętnie. Chcesz?"

Nie taję, że dopiero teraz, gdy widziałem ją wśród powszechnych czynności, słów, gestów Pani Zofia wzruszała mnie. Najbardziej imponowała traktowaniem ludzi prostych, którzy zjawiali się w jej mieszkaniu - kobiety wiejskiej przynoszącej nabiał, dozorca, który przyszedł zreperować zlew, sąsiada szewca proszącego o napisanie podania. Pani Zofia z tymi ludźmi rozmawiała w identyczny sposób jak z profesorem Wojciechowskim: nie wyczuwała się w jej wypowiedziach ani w pytaniach dystansu ani intelektualnego "schodzenia" o szczebel niżej, najmniejszej nutki "inności"; kobieta z nabiałem była dla pani Zofii równie interesująca jak profesor; w rozmowie z nią i w jej sprawy angażowała się z równym przejęciem, równie dociekliwa i uważna na to, co mówi rozmówczyni, jak w rozmowach z profesorem. Każda obserwacja tego rodzaju kontaktów była dla mnie niezrównaną lekcją autentycznego braterstwa i równości, możliwych przecież w ludzkim świecie, jeśli się człowiek wewnętrznie nie wynosi ponad innych. Mój podziw, moje zaskoczenie powodowane było w znacznym stopniu tym, że przejawem skromności była tu pokora intelektualna, była płaszczyzna autentycznej równości, na której stawiała autorka o ogólnopolskim nazwisku w rozmowach ze swoimi napół piśmiennymi gośćmi. "Napije się Marysia gorącej herbaty czy kawy" - witała kobietę z nabiałem tak jak witała Marię Straszewską. [...]

Natomiast innego rodzaju są wspomnienia z rozmów, jakie niekiedy prowadziliśmy wieczorami po godzinie policyjnej. Pani Zofia, Profesor, ja i nocujący doraźnie goście.

Znaczną część dnia spędzała wówczas Pani Zofia w mieście. Konspiracyjne zwyczaje, traktowane przez nas bardzo serio, nie pozwalały interesować się tym, czym się zajmuje druga osoba, z kim się spotyka i rozmawia, gdzie bywa.

Prawie od początku wojny pani Zofia włączyła się w nurt pracy konspiracyjnej. Pod koniec października 1939 roku spotkała Witolda Hulewicza, który był redaktorem pisma konspiracyjnego Komendy Obrońców Polski "Polska Żyje!", zwanego popularnie "Pezetką". Na jego propozycję współpracy chętnie wyraziła zgodę. Starła się co tydzień dostarczać artykuły do redakcji. Napisała m.in. trzy artykuły wstępne: *Wierzymy* (22 VI 1940, nr 57), *Co nie powinno powrócić* (14 IX 1940, nr 69), *Do kobiet polskich* (10 XII 1940).

W skład redakcji wchodził także: Witold Bieńkowski, Wacław Borowy, Zawistowski, Jerzy Hulewicz, prof. Basiński, Janina Świącicka, Wanda i Stanisław Miłaszewscy. Sekretarką redakcji była Wanda Wilczańska, spokrewniona z Zofią Kossak, która nawet mieszkała u niej na Idżkowskiego.

Wanda Miłaszewska była znaną w okresie międzywojennym powieściopisarką. Pani Wanda, kiedy jesienią 1940 roku było trudno o żywność, przynosiła na Idźkowskiego swoje przetwory na zimę, m.in. dzemy. Pani Zofia wraz z Jadwigą Witkiewiczową ułożyły z tej okazji wierszyk.

Jaki smutny i pochmurny
dzisiaj rano na Zagórnej.
Wszyscy wstali lewą nogą
i śniadania jeść nie mogą.
[potem wspomniano buraczną konfiturę, jadaną niechętnie na śniadanie]
Wtem ktoś do drzwi mocno dzwoni.
Czy to czasem nie są oni?
Każdy oddech w sobie tłumi,
w mieszkaniu coś dziwnie szumi.
Choć odważna ale blada
Matka otwiera podwoje.
Przebóg, cóż to za gromada
wnosi wielkie jak piec słoje.
Czy to anieli niebiescy?
Nie, to państwo Miłaszewscy.

Redakcja "Peżetki" pracowała razem do stycznia 1941 roku, kiedy to miała miejsce wyspa w Komendzie Obrońców Polski. Gestapo miało dobrze rozpracowaną tę organizację: w materiałach gestapo oprócz Witolda Hulewicza jest wymieniona także Zofia Kossak-Szczucka: *Hulewicz Witold, redaktor i literacki współpracownik Polskiego Radia, Kossak-Szczucka - znana polska pisarka (jest poszukiwana)*. Jak wiadomo, pisarka nawet po poślubieniu Zygmunta Szatkowskiego wydawała książki jako Kossak-Szczucka (pod nazwiskiem, pod którym debiutowała).

Witold Hulewicz znalazł się w niemieckich rękach już wcześniej. W sobotnią noc 31 sierpnia 1940 roku do jego mieszkania w Al. Niepodległości przyszło gestapo. Podczas rewizji nic nie znaleziono. Maszynopis, nad którym pracował właśnie, udało mu się wsunąć pod maszynę do pisania, a materiały do kolejnego numeru "Peżetki" wcześniej przekazał łącznie. Niemcy opuszczając mieszkanie zostawili Hulewiczowi nakaz stawienia się w poniedziałek na Szucha. Znajomi namawiali go, aby uciekał, ukrył się gdzieś. Bał się o resztę rodziny: o matkę, żonę i córkę (a żona i córka i tak wyładowały na Pawiaku). Poszedł i nie wrócił. Z Szucha trafił na Pawiak, skąd przez jakiś czas kierował pismem wysyłając artykuły przez polskich oddziałowych. W śledztwie nie przyznał się do niczego.

W ostatnim liście noszącym datę 11 czerwca pisał: *Moja najdroższa Matko i Córeczko! Niech Bóg Was wynagrodzi za Wasz cudowny wczorajszy list. Nie proszę już o żadne paczki. Pozdrówcie i ucałujcie się nawzajem w moim imieniu. Modlę się gorąco. Nie odpowiadam na żadne poszczególne pytania - nic nie jest ważne. Kładę znak krzyża na czoło mego Dziecka, które żyje tak poważnie i pięknie. Bądźcie zdrowe. Zobaczymy się... Wasz całą duszą Witold.*

Został rozstrzelany w Palmirach 12 czerwca 1941 roku. Po jego śmierci córka Agnieszka dowiedziała się, że zdążył się wypowiedzieć u o. Maksymiliana Kolbe. Hulewicz wiedział o dacie swojej śmierci. Wśród dokumentów przekazanych córce przez władze Pawliaka znalazł się kalendarzyk na 1941 rok. Przy dacie śmierci postawił krzyżyk. Niemcy chcieli mu darować życie w zamian za wydanie członków redakcji. Z propozycji nie skorzystał.

Witold Hulewicz przeczuwał swoje aresztowanie. Na krótko przedtem wyznaczył swoim następcą Witolda Bieńkowskiego z Panią Zofią jako współredaktorką. Wydawali więc nadal pismo "Polska Żyje!", a w grudniu 1940 roku przygotowali "Kalendarzyk KOP-u 1941", gdzie został umieszczony przepiękny *Dekalog Polaka* pióra pani Zofii:

(...)Jam jest Polska, Ojczyzna twoja, ziemia Ojców, w której wzrosłeś. Wszystko, czymś jest, po Bogu mnie zawdzięczasz.

1. *Nie będziesz miał ukochania ziemskiego nade mnie.*
2. *Nie będziesz wzywał imienia Polski dla własnej chwały, kariery albo nagrody.*
3. *Pamiętaj, abyś Polsce oddał bez wahania majątek, szczęście osobiste i życie.*
4. *Czcij Polskę, ojczyznę twoją, jak matkę rodzoną.*
5. *Z wrogami Polski walcz wytrwale do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi w żyłach twoich.*
6. *Walcz z własnym wygodnictwem i tchórzostwem. Pamiętaj, że tchórz nie może być Polakiem.*
7. *Bądź bez litości dla zdrajców imienia polskiego.*
8. *Zawsze i wszędzie śmiało stwierdzaj, że jesteś Polakiem.*
9. *Nie dopuść, by wąpiono w Polskę.*
10. *Nie pozwól, by ubliżano Polsce pomizając Jej wielkość i Jej zasługę, Jej dorobek i Majestat.*

Będziesz miłował Polskę pierwszą po Bogu miłością. Będziesz ją miłował więcej niż siebie samego.

Pisarka współpracowała także z redakcją innego pisma konspiracyjnego "Znak", redagowanego przez Lucjana Rościszewskiego, gdzie między innymi opublikowała *Spowiedź inteligenta polskiego*. Jej artykuły pojawiały się także w piśmie "Miecz i Pług", założonym przez księdza Leona Poeplaua z Pomorza. Po jego i Krysi Karjer aresztowaniu kontakty z "Mieczem i Pługiem" się urwały.

O śmierci ks. Poeplaua w Oświęcimiu wspomina pisarka w broszurze *Golgota*, wydanej we wrześniu 1942 roku nakładem Frontu Odrodzenia Polski: *Niemniej żywą pamięć zostawił po sobie młodzieńcy ks. Peplau z diecezji pomorskiej, co nie zważając na razy, wychodził w czasie apelu z szeregu, by pochylić się nad konającym towarzyszem, udzielić mu absencji. Oprawcy odpychali go i tłukli, nie mogli jednak przeszkodzić wypowiedzeniu sakramentalnych słów: "Indulgentiam, absolutionem et remissionem peccatorum ..." - spływających na umierającego smugą przebaczenia. I jeśli moment podobny zachodził o zmierzchu, świadkom wydawało się że widzą jasność nad głowami udzielającego i odbierającego Sakrament. I najmniej wrażliwi nawet czuli powagę rozgrywającej się sceny. Ksiądz i moribundus zdawali usuwać się w strefę wieczności, gdzie złość i przemoc ludzka nie sięgają. Pochłaniały ich sprawy, na które kaci nie mogli mieć wpływu. Naprzeciw brutalnej przemo-*

cy stawała moc wyższa, nie dająca okiełznać się, ani zahamować. Oprawcy mogli księdza i petenta zabić, nie mogli jednak sparaliżować tajemniczego skutku słów: "Indulgentiam, absolutionem et remissionem peccatorum ...". Władza nad życiem ludzkim była krótka i urywała się z doczesnymi formami bytu, podczas gdy siła rozgrzeszenia przetrwać miała wieki. I z tego punktu widzenia spoglądając na zajścia w obozie, łatwo zrozumieć, skąd wypływała nienawiść żywiona przez katów do wszystkiego, co tchnęło Bogiem albo służbą Bożą. Dlatego znosić nie mogli księdza Morawskiego o słodkim uśmiechu, albo księdza Peplaua, pocieszyciela umierających. Ten ostatni miał śmierć piękną, której nie wolno przemilczeć.

Ulubioną rozrywką Esesów jest przymuszanie księży do śpiewania bluźnierczych, pornograficznych piosenek. Niejednokrotnie, by zachować życie dla ważniejszych potrzeb, księża udawali, że wykonują ten rozkaz, mrucząc coś niewyraźnie lub podkładając pod melodię inne słowa. Zdarzyło się jednak, że czy to piosenka była zbyt wyjątkowo bluźniercza, czy rozkaz stanowił zbyt otwartą prowokację - ks. Peplau odmówił śpiewu. "Jestem księdzem i podobnych słów nie wypowiem". Niewykonanie rozkazu w obozie nie może mieć innej konsekwencji niż śmierć. W obecności wszystkich zaczęła się egzekucja. Kilku rosnących silnych drabów biło zagłodzonego chudzińca. Na tle ich tęgich postaci jakże się zdawał słaby i bezbronny! Jednak z nieugiętą mocą powtarzał: "Śpiewać nie będę". A oni nalegali. Chcieli nie tylko go zabić, ale przed śmiercią załamać. Bili bykowcami, pałkami gumowymi, kopali podkutymi obcasami. Uczynili z jego ciała jedną ranę, połamali zębra, odbili wnętrzności. Po każdej nawałnicy uderzeń stawiali go pod ścianą i podpierając bezwładny strzęp ciała drągiem, krzyczeli: "Śpiewaj!" - Nie mógł już mówić i trząsał tylko głową przecząco. Tak zginął...

Witold Bieńkowski redagował także pismo KOP dla młodzieży "Orlęta" (od października 1940 do stycznia 1941 roku). Tutaj także ukazywały się artykuły pani Zofii (m.in. *O co i jak walczyć*, w numerze z 10 I 1941). Poza tym pisarka zaczęła pisać powieść o losach młodzieży w czasie wojny. Zatytułowała ją *Orlęta*. Niestety rękopis wkrótce spłonął i autorka nie podjęła już w tym czasie żadnych prób literackich. Oddała się publicystyce, pisała do prasy konspiracyjnej a także wydała kilka broszur konspiracyjnych, ale o tym niżej.

Generalna wpadka miała miejsce 17 stycznia 1941 roku. Tego dnia do mieszkania Zofii Kossak przyszli Niemcy. Poszukiwali Wandy Wilczańskiej i Zofii Kossak-Szczuckiej. Pani Zofii udało się uniknąć aresztowania tylko dzięki przytomności gosposi Heleny Podlaskiej. Stwierdziła ona bowiem, że owszem w mieszkaniu są książki tej pisarki, ale ona osobiście jej nie zna i taka osoba tu nie mieszka. Niemcy zabrali ze sobą tylko Wandę Wilczańską.

Ponieważ pora była późna, cała rodzina w niepokoju przeczekwała noc. Pani Zofia zdawała sobie sprawę z faktu, że Niemcy jednak szybko skojarzą, że Zofia Szatkowska i Zofia Kossak-Szczucka to ta sama osoba. I rano, skoro tylko minęła godzina policyjna, wszyscy oprócz cioci Ninki (Jadwigi Witkiewiczowej, żony Witkacego), która miała nogę w gipsie, opuścili mieszkanie. A Niemcy rzeczywiście przyszli godzinę później, ale już nie zastali ani pisarki ani jej rodziny. Ciotki Ninki nie aresztowali.

Anna Szatkowska została umieszczona u siostr Niepokalanek w Szymanowie (przerabiała tam program szkoły średniej), jej brat Witold jakiś czas mieszkał na Twardej u Janiny

Jętkiewiczowej, potem w majątku Haliny Królikowskiej w Olszynach pod Warszawą, a następnie w Zagórkach w leśniczówce u Bispingów.

Pani Zofia wraz z matką dzięki ks. Janowi Rzymelce i ks. Edmundowi Krauze ukrywała się odtąd w schronisku księży misjonarzy przy ul. Radnej 14. Schronisko było w dyspozycji parafii św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, gdzie pracowali wymienieni księża.

Obie panie zamieszkały w maleńkim pokoiku na pierwszym piętrze, do którego wchodziło się przez pokój kierowniczkę schroniska, Janiny Rolińskiej. Pokoik był tak mały, że gdy Anna przyjeżdżała z Szymanowa w odwiedziny, mogła spać tylko pod stołem. Jak wspomina łączniczka "Urszula", na Radnej ukrywali się także księża (udając pomocników do ciężkich robót). Codziennie rano w domowej kaplicy odprawiali oni mszę św. Pani Zofia bywała codziennie na mszy i służyła do niej w charakterze ministranta.

Jej matka Anna Kossakowa była już chora i nie opuszczała pokoiku. Ponieważ bardzo często przez całe dni była sama (pani Zofia miała moc roboty na mieście), postanowiono, że należy zadbać o towarzystwo dla staruszki i od znajomych przyniesiono szkockiego teriera. Ponieważ było to w okresie, gdy pani Zofia działała w FOP, suczkę nazwano Fopcią. Oczywiście pani Annie powiedziano początkowo, że psa muszą obie panie przygarnąć na kilka dni, ponieważ jego właściciel wyjeżdża z Warszawy. Potem kiedy staruszka przywiązała się do Fopci, powiedziano jej, że właściciel będzie jeszcze dłuższy czas poza Warszawą i pies pozostanie na Radnej. Bardzo często w czasie, gdy pani Zofia była na mieście, z psem na spacer wychodziły panie z kuchni albo wypuszczały go na taras.

Anna Kossakowa najlepiej знаła układ skrytek w podłodze pokoiku (wykonanych specjalnie przez zaprzyjaźnionego stolarza), wiedziała, który sznurek należy pociągnąć, aby odkryć schowek z pieniędzmi, a którym trafić do schowka z prasą konspiracyjną.

O pokoiku na Radnej była mowa w szopce wystawionej w mieszkaniu Anny i Romana Lasockich (kuzynów pani Zofii) przy ul. Brackiej 9. Tekst szopki ułożyła jedna z łączniczek Zofia Janiczówna:

Mała uliczka, pierwsze piętro
drzwi na prawo, pokój dwa.
Czy to powszedni dzień czy święto
tam gości pełno, że aż strach.
Co ich tu ściąga, co pociąga?
Przyjdź tu sam, a powiesz - wiem.
Ta kamienica to tajemnica
A źródło sprawy leży w tem.
Tam mieszka Ciocia, najlepsza Ciocia
Tam konspiracji świat ma rendez vous
I tam od rana elita sama
Gada i gada, i gada tak bez tchu.
Do Cioci biegnie się po informacje,
Ciocia odpowie dlaczego, gdzie i kto,
Ciocia rozstrzygnie, kto ma rację,
Ciocia zaradzi na każde złó.

Ten chce najświeższe wiadomości.
Ów to delegat wielki znów,
Tamten dla Fopci przyniósł kości,
Ach, Ciociu, pomóż, poradź, zrób!
Tego trza uczyć na maszynie,
Temu powiedzieć, jak i co.
Ten chce na piątą, ów na dziesiątą.
Wszyscy dlatego, no, że to.

Tam mieszka Ciocia...
Za lat pięćdziesiąt gdzieś po wojnie,
Kiedy wspominać będziemy to,
Kiedy już będzie tak spokojnie,
Jakby nie była wojna złą.
Ja wtedy babcia, lecz podreptam
Na Powiśle z wnuczką swą.
Słowa się mącą, lecz ręką drżącą
Pokażę kamienicę tą.

Patrz, tam mieszkała Ciocia...

Na Radnej w 1942 roku w sali widowiskowej na parterze (już jej nie ma: w czasie remontu w 1993 roku przebudowano ją na kaplicę) wystawiono sztukę napisaną przez Zofię Kossak *Gość oczekiwany*. Reżyserował ją Jan Janik, w roli Pana Jezusa wystąpił Florian Berek, nauczyciel domowy Witolda i Anny, który podczas okupacji znalazł się w Warszawie.

Pani Zofia nie byłaby sobą, gdyby nie zainteresowała się losem więźniów na Pawiaku, którzy umierali nie pojednawszy się z Bogiem. Zorganizowała więc łańcuch ludzi dobrej woli, którzy dostarczali komunikanty na Pawiak i na Serbię (więzienie dla kobiet).

Zwróciła się w tej sprawie do zaprzyjaźnionego księdza Edmunda Krauze z parafii Św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Ten z kolei porozumiał się z biskupem poleskim Czesławem Bukrabą, który przebywał w klinice św. Józefa przy Emilii Plater. Prośbę poparł także Witold Bieńkowski, wówczas kierownik Komórki Więziennej przy Delegaturze Rządu RP na Kraj. Biskup wyraził zgodę. Łączniczki (najczęściej były to: Maria Tomaszewska "Urszula" i Maria Kann "Halina") odbierały komunikanty z kościoła św. Krzyża lub z kaplicy sióstr Franciszkanek przy ul. Elektorальной. Tutaj zadziałała z kolei harcmistrzyni Zofia Jaxa-Bykowska (w porozumieniu z księdzem Janem Zięją wystarała się o możliwość brania Komunii Św. z tej kaplicy). Kolejne łączniczki lub strażniczki z Pawiaka (Danuta Gawryłow, Ludwika Uzar-Krysiakowa "Myszka") odbierały je w punkcie kontaktowym. Było nim mieszkanie matki Marii Kann, która była kierowniczką apteki więziennej przy ul. Długiej 52. Mogły do niego dojść wewnętrznym korytarzem z apteki, nie zwracając niczyjej uwagi. Jeżeli Maria Kann nie mogła dostarczyć komunikantów, wówczas odbierano je z kościoła św. Andrzeja (zwanego również kościołem św. Karola Boromeusza) przy ul. Chłodnej. Zadanie to powierzono głównie Halszcze Żuromskiej, czasami robiła to Zofia Kossak, jej córka Anna Szatkowska i Witold Bieńkowski.

Komunikanty przenoszono w korporale. W kaplicy ss. Franciszkanek owijano je (każdy oddzielnie) w cienką bibułkę. Kilka razy używano do tego celu czarnej emaliowanej puderniczki, zakupionej specjalnie przez panią Zofię (po wojnie została przekazana na Jasną Górę). Po szczęśliwym przebrnięciu przez "wachę" Lusja Uzarówna, zaprzysiężona pracownica Komórki Więziennej, wręczała paczkę Wandzie Wilczyńskiej, która z reguły zawijała ją w kłębek wełny. Miała go cały czas przy sobie, robiąc na drutach sweter lub szalik. Najczęściej to ona roznosiła komunikanty i udzielała Komunii św. tym, którzy tego pragnęli. Była ona wówczas intendentką szpitala więziennego i kierowniczką wewnętrznej siatki Komórki Więziennej, kierowanej przez Witolda Bieńkowskiego.

Jak już wcześniej wspomniałam, Wanda Wilczańska przed aresztowaniem była sekretarką Witolda Bieńkowskiego i łączniczką. W czasie śledztwa Niemcy chcieli się dowiedzieć od niej wszystkiego o Witoldzie Bieńkowskim, o którym wiedzieli, że należy do redakcji pisma "Polska Żyje!", ale znali tylko jego pseudonim "Jan". Przesłuchiwana w czasie śledztwa wiele razy i trzymana w jednej celi z mężczyznami, nie wydała go. W momencie aresztowania miała 28 lat. Witold Bieńkowski był od niej 7 lat starszy. Oddaleni od siebie, mieli kontakt ze względu na działalność Witolda w Komórce Więziennej. I chociaż Wanda przebywała w więzieniu, postanowili się pobrać. Ślub per procura odbył się chyba w 1942 roku i odtąd paczki na Pawiak przychodziły już na nazwisko Bieńkowska. Uprzedzając trochę wydarzenia mogę powiedzieć, że z Pawiaka (a opuściła go dopiero 30 lipca 1944) trafiła ona do Ravensbrück. Po wojnie Bieńkowsy zamieszkali w Świdrze. Doczekali się syna Jana.

Powróćmy do losów pani Zofii. Czas przedstawić jej działalność w katolickiej organizacji konspiracyjnej pod nazwą FRONT ODDRODZENIA POLSKI. Jej założycielami (w połowie 1941 roku) obok Zofii Kossak byli ksiądz Edmund Krauze z parafii św. Krzyża, Witold Bieńkowski, major Jan Włodarkiewicz. O tym ostatnim należy wiedzieć, że był komendantem Tajnej Armii Polskiej i wchodził w skład komitetu redakcyjnego pisma "Znak", gdzie też publikowała artykuły Z. Kossak. W mieszkaniu jego matki przy ul. Idżkowskiego 11 (a pod numerem 4 mieszkali Szatkowscy) odbijano pierwsze numery "Znaku". W 1941 roku został komendantem "Wachlarza". Zmarł we Lwowie 18 marca 1942 roku w niewyjaśnionych okolicznościach.

Witold Bieńkowski widział FOP jako konspiracyjną kontynuację Akcji Katolickiej o charakterze politycznym, natomiast pani Zofia - jako luźne zrzeszenie katolików świeckich czynnych w różnych ugrupowaniach politycznych i wojskowych.

W dokumencie FOP przedstawiającym zasady i cele tej organizacji (pochodzącym z 1942 roku) czytamy:

Front Odrodzenia Polski stawia jako zasadniczy cel swojej działalności odrodzenie moralne Polski w myśl ideologii katolickiej, przez odrodzenie Polski odrodzenie świata.

Aby ten cel osiągnąć, FOP dąży do uaktywnienia moralnych zasad katolickich wprowadzając je w zewnętrzne życie jednostki, wypowiada walkę ignorancji religijnej, dotychczasowej bierności katolików, pracuje nad stworzeniem typu obywatela-katolika.

Ponieważ do moralnego odrodzenia narodu nie wystarczy dobra wola jednostek, potrzebne są jeszcze takie warunki społeczne, które by nie uniemożliwiały praktykowania cnót

chrześcijańskich, - FOP dąży do odpowiedniego zreformowania urzędzeń socjalnych. Reforma ta może się dokonać przez śmiałe wprowadzenie żądań katolickich w życie publiczne i polityczne. [...]

W przekonaniu FOP nie istnieje możliwość osiągnięcia celu nieetycznymi środkami. Tak środki jak metody działania muszą wynikać z katolickich zasad moralnych.

Organizacja FOP.

FOP nie tworzy ekskluzywnej organizacji społecznej i politycznej. Reprezentuje go grupa katolików świeckich zdecydowanych poświęcić całą swą społeczną działalność sprawie odrodzenia moralnego Polski. [...]

Żadna zasada katolicka społeczna nie zabrania katolikom należeć do różnych ugrupowań społecznych lub politycznych uznających światopogląd chrześcijański. Szczere przyjęcie koncepcji odrodzenia moralnego stwarza zatem dla FOP naturalne ramy organizacyjne ogarniające większość katolików polskich niezależnie od ich przynależności partyjnej.

Nakładem Frontu Odrodzenia Polski ukazało się kilkanaście broszur konspiracyjnych. Autorstwa Zofii Kossak były w kolejności ukazywania się: *Niszczyciele* (1941), *Prawdziwe oblicze Piusa XII* (1941), *Nieuleczalni* (1941/1942), *Jesteś katolikiem... Jakim?* (1942), *Golgota* (IX 1942), *Pod dyktando Berlina* (1942), *W piekle* (1942), *Jesteś katolikiem... Jakim?* (wyd.2, 1943), *Sprawiedliwie* (1943), *W piekle* (wyd.2, 1943), *Sprawiedliwie* (wyd.2, 1944).

Broszury drukowano w nakładzie 3000 - 5000 egz. Korzystano z drukarni "Wolność", prowadzonej przez Tadeusza Tyszkę. Kontaktowała się z nim z reguły Anna Lasocka, która zanosila mu materiały i odbierała gotowe.

Z innych wydawnictw FOP należy wymienić Elżbiety Krajewskiej (praca wydana anonimowo) *Droga krzyżowa Polaków w więzieniach i obozach* (ułożona i opraciona w murach więzienia jesienią 1943 roku), wydana w 1944 roku, a licząca 8 stron. Jak podaje Władysław Chojnacki w *Bibliografii zwartych druków konspiracyjnych wydanych pod okupacją hitlerowską w latach 1939-1945* (Warszawa 1970, PWN) tekst ten został zapisany i przesłany grypssem z więzienia przez Zofię Kossak.

O działalności wydawniczej FOP niech zaświadczy pismo Witolda Bieńkowskiego "Jana" do Stanisława Kauzika "Dołęgi" (dyrektora Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu) w sprawie planu wydawniczego FOP na okres letni 1942 roku: *W okresie letnim 1942 FOP wydaje 2 cykle broszur o ogólnopolskim znaczeniu propagandowym. Na cykl pierwszy składają się broszury: "Niszczyciele", "W piekle" i "Golgota". Cykl drugi "Niemcy o sobie" obejmuje: "W przededniu dni rozgrywki" i "Koniec trzeciej i ostatniej Rzeszy". Broszury cyklu pierwszego są opracowywane na podstawie materiału dokumentacyjnego z archiwów DR i SSS [AK]. Broszury cyklu II są opracowywane na podstawie przedwojennych publikacji antyreżimowych autorów niemieckich.*

"Niszczyciele" - rzecz o świadomym niszczeniu kultury w Polsce przez niem[ieckie] władze okup[acyjne]. Broszura wydana w maju br. Nakład 3000 egz. Koszt wydania 2200 zł. Wydanie całkowicie wyczerpane. Konieczność wydania drugiego o nakładzie ca 6000 egz. Zamówienia grup i Stronnictw, oraz WC [Kierownictwa Walki Cywilnej].

"W piekle" - rzecz o obozach koncentracyjnych. Wydana w czerwcu w nakładzie 3000 egz. Stron 32. Koszt wydania 4200 zł. Konieczność wydania drugiego (pierwsze całkowicie wyczerpane) w nakładzie ca 10000 egz. Zamówienia jak wyżej.

"Golgota" - rzecz o bohaterstwie i martyrologii wszystkich warstw społecznych w Polskiej Walce Podziemnej. Około 40 stron druku. Ukaże się w lipcu w nakładzie 3000 egz. Koszt około 5000 zł. Pożyczany od razu nakład co najmniej potrójny.

"W przededniu rozgrywki" - praca na podstawie dzieła Foerстера. Wydana w marcu na koszt Dep. Prop[agandy] w wydaniu łącznym ze Str[onnictwem] Nar[odowym]. Nakład 5000 egz. Część wydawnictwa należąca do FOP wyczerpana.

"Koniec Trzeciej i ostatniej Rzeszy" - praca oryginalna, opracowana głównie na podstawie dzieł Rauschninga "Rewolucja nihilizmu" oraz na podstawie "Mein Kampf" [Adolfa Hitlera], Rosenberga, Ludendorfa i Seeckta. Około 42 stron druku. Będzie wydana w końcu sierpnia. Koszt 3000 egz. około 5000 zł.

Pożyczana pomoc z Dep[artamentu] Prop[agandy] na wydanie zwiększonych wydań następných oraz na umożliwienie wydania gotowych, czekających na druk prac. Od sumy ewent[ualnego] zasilku uzależniamy obsłużenie zamówień tak org[anizacji] społ[ecznych] i pol[itycznych], jak i W.C.

Cytowana broszura *Koniec Trzeciej i ostatniej Rzeszy (Niemcy o sobie)*, tak jak i inne wydawnictwa FOP, ukazała się anonimowo. Jej autorem (a także autorem broszury *Polityka katolicka. Wytoczne programowe dla działaczy katolickich*) jest Witold Bieńkowski. Ta ostatnia pozycja nie spotkała się z aprobatą innych członków organizacji i nie była kolportowana. Trzeba tu dodać, że w przeciwieństwie do pani Zofii, Witold Bieńkowski miał ciągotki przywódcze.

Oczywiście publikowano i innych autorów, np. Juliana Chruścielewskiego (*Małżeństwo, dziecko, szczęście*, 1943; *O prawa małżeńskie przyszłej Polski*, 1943), Antoniego Trepiańskiego (*Trzy tygodnie w Majdanku*, 1943). Ponadto Front Odrodzenia Polski wydawał prasę. Organem FOP-u była "Prawda", ukazująca się od kwietnia 1942 roku, i redagowana przez Zofię Kossak (do momentu jej aresztowania). Współpracowali z nią Witold Bieńkowski, ks. Edmund Krauze, Teresa Zdanowska.

Ponadto wydawano także od grudnia 1942 roku "Prawdę Młodych", redagowaną przez Władysława Bartoszewskiego (ostatni numer nosił datę: styczeń 1944) i "Prawdę Dnia", początkowo ukazującą się jako część "Prawdy". Redagował ją Witold Bieńkowski. Jako samodzielny tytuł ukazała się po raz pierwszy z datą 25 XII 1943 roku.

Autorami artykułów do prasy FOP byli oprócz Zofii Kossak: Władysław Bieńkowski, Władysław Bartoszewski, Julian Chruścielewski, Tadeusz Gajcy, Remigiusz Grochołski, Maria Kann, Aldona Kimontt, Aleksandra Mackiewiczówna.

Pora teraz przedstawić ludzi FOP. Kierownikiem duchowym był ksiądz Edmund Krauze, prefekt kościoła św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu (proboszczem i opiekunem schroniska na ul. Radnej był ks. Jan Rzymiełka). W artykule napisanym po jego śmierci, a opublikowanym w "Prawdzie" (numer z V-VI 1943) *Odszedł człowiek...* tak o nim pisze Z. Kossak: *Odszedł nasz przywódca, kierownik, żywe sumienie, inicjator ruchu, stróż czystości intencji i linii postępowania, doradca, opiekun, przyjaciel. W przedziwny sposób łączył w*

sobie świętobliwość i słodycz z rewolucyjną śmiałością umysłu, niezmqoną pogodę i męstwo z przenikliwością i trafnością, a nawet surowością sądu, łagodność z mocą ducha, urok obejścia z powagą. Był zawsze sobą, czy to kierując rozlicznymi odcinkami niepodległości życia, czy uchylając kapelusza przed żebrakiem takim gestem, jak gdyby ubogi oddawał mu przysługę, przyjmując datkę, czy rozstrzygając jednym śmiałym słowem zawite dyskusje, przyjmując na swoje barki odpowiedzialność za wielkie decyzje, czy pobłażliwym uśmiechem sprowadzając do właściwego znaczenia drobiazgi [...].

Był rzecznikiem pokoju, zgody i jedności. Za największe niebezpieczeństwo Polski uważał nie wrogów zewnętrznych, lecz odśrodkowy pęd do rozbicia, wzajemnego zwalczania się i przeciwstawiania sobie. Widok rozproszkowania, w jakim znajdują się polskie siły katolickie, napętniał go niepokojem i zgryzotą. [...] Z Frontu Odrodzenia Polski pragnął uczynić ośrodek mediacyjny, platformę, na której rzekomi przeciwnicy mogliby się spotkać i dogadać, przekonać, że zasadnicze podstawy i hasła mają wspólne, różnice zaś dzielące ich są nieistotne i małe. Pragnął obudzenia wielkiego katolickiego polskiego ruchu, któryby chwijną, bierną, na uczuciowości opartą religijność przemienił w twórczą, świadomą wiarę.

Z kolei Aldona Kimontt w swoich wspomnieniach Zofia Kossak, jaką widziałam i znałam (Warszawa 1968, maszynopis) tak wspomina księdza Krauze: *Od dłuższego czasu był ciężko chory na nerki. Nie zmieniał jednak swego trybu życia biorąc udział w rozlicznych pracach. Musiał się jednak zdecydować na operację. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które mu groziło i przewidywał swą rychłą śmierć. Na zebraniu u Teresy Zdanowskiej, gdyśmy układali dalsze prace, włączył się żywo do naszych planów, ale po chwili się zreflektował i urwał swą wypowiedź krótkim zdaniem: "Nie, to już będzie po wszystkim". Zmarł, gdy Zofia była poza Warszawą. Wróciła w dzień pogrzebu. Przyszła do kościoła Świętego Krzyża na chwilę przed rozpoczęciem mszy św. Stanęła na uboczu, zmieniona, zboląta, jakaś zmaląta. Gdy zbliżyłam się do niej, oparła się o mnie i zarówno w kościele, jak i na cmentarzu, będąc wciąż obok niej, nie tylko przeżywałam śmierć naszego nieodżałowanego przewodnika, ale wyczuwałam wielką tragedię, którą przeżywała Zofia, tragedię, której w danej chwili nie była w stanie jeszcze pokryć zwykłym swym opanowaniem.*

Do Frontu Odrodzenia Polski należał także Remigiusz Grocholski (po śmierci Jana Włodarkiewicza komendant "Wachlarza"). Najbliższą współpracownicą Zofii Kossak była jej bliska kuzynka Anna Lasocka ("Anulka") z domu Kisielnicka (a matka pani Zofii też pochodziła z Kisielnickich). Anna i Roman Lasoccy byli właścicielami majątku Dzierżbia w Łomżyńskim. Myślę, że podczas jednej z wizyt u Lasockich Zofia Kossak poznała przyszłego współpracownika (zarówno w redakcji "Polska Żyje!", jak i "Prawdy", czy w ogóle w FOP) Witolda Bienkowskiego, który pracował jako nauczyciel domowy u Lasockich (a wcześniej u Marii i Jerzego Jabłońskich). Ich mieszkanie przy ul. Brackiej 9 (obecnie w tym miejscu stoi pawilon "Chemia") było jednym z punktów kontaktowych, gdzie składano "Prawdę".

Opowiadał mi syn Lasockich Krzysztof, że pewnego razu do mieszkania weszło gestapo. Mieli przeprowadzić rewizję. W przedpokoju minęli ukryte za kotarą paczki z "Prawdą". Chyba nawet jeden z Niemców kopnął je przechodząc, ale nie zainteresował się, co tam jest, i przeszedł dalej. Uwagę ich zaprzątęła broń zawieszona na ścianie. Na szczęście

dla gospodarzy lokalu wuj był siedleckim gajowym i miał pozwolenie na broń. Krzysztof także pracował u wuja. Niemcy tak się tym zasugerowali, że przeprosili za zamieszanie i wyszli, rezygnując z rewizji.

W ogóle mieszkanie Lasockich było dobrym punktem, ponieważ budynek posiadał dwa wejścia. Tutaj w grudniu 1943 roku świątek konspiracyjny skupiony wokół Zofii Kossak wystawił szopkę podczas Bożego Narodzenia.

O wizycie w mieszkaniu Lasockich opowiada Jerzy Lerski (we wspomnieniach *Emisariusz Jur*), ujawniając jednocześnie podejście do konspiracji Pani Zofii: *Najbardziej jednak ryzykowne okazało się uleganie perswazji nie dbającej o żadne konspiracyjne zabezpieczenia Zofii Kossak-Szczuckiej. Niezależnie bowiem od kierownictwa Frontu Odrodzenia Polski i szerokiej akcji pomocy Żydom zorganizowała ona również tzw. SOS (Społeczna Organizacja Samoobrony), w skład której weszli przedstawiciele blisko dwudziestu mniejszych organizacji politycznych, działających na marginesie grubej czwórki z KRP [Krajowej Reprezentacji Politycznej]. Otóż pani Zofia zagięła na mnie parol i postanowiła, bym się jako emisariusz z Londynu zaprodukował również na zebraniu przedstawicieli tegoż SOS-u. W staromodnym salonie państwa Lasockich, poprzez kłęby dymu wpatrywało się we mnie kilkadziesiąt par ciekawych oczu, no i tego amatorstwa było mi wreszcie za dużo. Obróciłem się na pięcie i oświadczyłem gospodyniom, że moje instrukcje nie pozwalają na branie udziału w tego rodzaju zbiegowiskach, które się dla nas mogą bardzo źle skończyć. Podpadłem, jak to mówią w wojsku, znakomitej autorce "Pożogi", ale wkrótce na własnej skórze przekonała się, kto miał rację, gdyż w wyniku podobnej nieostrożności sama została wywieziona do Oświęcimia, z którego cudem ocalała.*

Anna Lasocka utrzymywała kontakty z Tadeuszem Tyszką, który drukował "Prawdę" (na ul. Francuskiej, w drukarni "Wolność").

O epizodzie z drukarzem opowiada Maria Kann we wspomnieniach *Niebo nieznanie: "Weronika" [czyli Zofia Kossak] wpadła do mnie z jakimiś sprawami. - Jak tu trafić do drukarni? - spytałam. - "Sanbor" w tej chwili nie może mi pomóc, a "Miedzę" [Stanisław Tomaszewski] już prosiłam o wykorzystanie swoich znajomości dla drukowania podręczników. - Nie martw się - powiedziała pani Zofia. - Polecono mi właśnie "Tadeusza", kierownika małej drukarenki "Wolność", podobno jest zacnym człowiekiem. Podrzucę go tobie, a ty mnie potem z nim skontaktujesz. Zatelefonuj, że książka już jest, i ja przyjdę do ciebie, dobrze? Teren na pierwsze spotkanie wybrałyśmy neutralny, w RGO [Rada Główna Opiekuńcza]. Hasło: "Z kim mogę się porozumieć w sprawach sanitarnych".*

Pani Zofia przekazała hasło, adres lokalu i termin spotkania. W oznaczonym dniu czekałam na próżno na "Tadeusza". Dopiero następnego dnia przywitały mnie okrzyki koleżanek biurowych: Był tu jakiś pan! Wysoki! Piękny! Elegancki! Prawdziwy lord! W kaloszach i z parasolem!!!

- Gdzie on jest, ten lord?

- Nie chciał czekać.

Zatelefonowałam do "Weroniki":

- Niestety, nie mam jeszcze "Małego lorda" dla Anny [Szatkowskiej]. Może dostanę jutro.

Tegoż wieczoru zjawił się u nas w mieszkaniu niepokaźny człowiek, ubrany w garnitur w dużą zieloną kratę. Może kratka przynosiła mu szczęście, bo krawat miał także kraciasty, czerwono-zielony. Stwierdziwszy moją tożsamość, ujawnił się jako drukarz "Tadeusz"... Spojrzałam na niego ze zdumieniem: więc tak ma wyglądać p r a w d z i w y l o r d ?

- Czy pan szukał mnie w RGO?

- Nie. Od razu skierowano mnie tutaj, na Długą.

O konspiracjo!

Natychmiast powiadomiłam "Weronikę", używając tego samego określenia, co poprzednio.

- Mam już "Małego lorda" - powiedziałam. - Proszę zabrać książkę jutro o piątej.

Pani Zofia zjawiła się wyjątkowo punktualnie i już od progu pytała: - Jest L O R D ?

I tak "Tadeusz" stał się "Lordem". Z nowego pseudonimu był bardzo dumny i sądził, że zawdzięcza go elegancji swego stroju.

Wysoki, piękny pan, mimowolna przyczyna zamieszania, nie miał nic wspólnego z drukarniami.

Główny lokal FOP (a ściślej "Prawdy") mieścił się przy ul. Radnej 4. Opisała go Maria Kann we wspomnieniach *Niebo nieznanie: W niewielkim pokoiku przy ulicy Radnej 4 Władek Bartoszewski wśród stosów pachnących farbą drukarską arkuszy pisma rozmawiał z Gelberem, pracownikiem księgarskim, uciekinierem z lwowskiego getta, który siedząc na podłodze starannie składał numery pisma. Przechowywano go w tym lokalu, ponieważ na razie nie udało się znaleźć innego schronienia, a on odwdzięczał się, jak umiał. Władek mówił z szybkością nieomal ponaddźwiękową [i nadal tak mówi], a to, co mówił, było zawsze udokumentowane i bardzo dowcipne. Działał równie szybko, jak mówił, toteż niedługo czekałam na potrzebne pieniądze.*

Budynek przy Radnej 4 nie zachował się. W tym miejscu zbudowano po wojnie blok, taki z fabryki domów.

A jakie były dalsze losy ukrywającego się na Radnej Moryca Gelbera, pracownika księgarskiego ze Lwowa? Opowiada o nich Teresa Prekerowa w książce *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942-1945* na podstawie relacji Władysława Bartoszewskiego: *Wyrobiniono mu papiery na nazwisko Aleksander Artymowicz i po paru dniach przewieziono do pustej kawalerki przy ul. Noakowskiego 12 m 75, a ponieważ zdradzał chęć wychodzenia na miasto (był pod tym względem jakoś słabo zrównoważony) zamknęliśmy go na klucz. Miałem nadzieję, że skakać z okna jednak nie będzie, mimo że jest zdenerwowany. Tam przynosiły mu jedzenie trzy moje koleżanki, z których jedna, Danuta Rokicka-Borowska, jest dziś pracownikiem naukowym Instytutu Historii PAN, druga to Stanisława Wdowińska. Artymowicz chciał pomagać w działalności konspiracyjnej, więc przywożono mu transport z drukarni prasy FOP, on ciężko, falcował, pakował, a potem te paczki zabierały te same dziewczęta, które przynosiły mu żywność. W ten sposób stał się w pewnym sensie współpracownikiem organizacji katolickiej [czyli Frontu Odrodzenia Polski]. Pewnego dnia, kiedy go odwiedziłem, rzekł, że chciałby coś dla mnie zrobić.*

- A co pan może dla mnie zrobić? Może kiedyś, po wojnie, teraz to nieważne.

- A może... może by pan chciał, żeby ja się ochrzcił?

Zaskoczony, zapewniałem, że mi to do niczego nie jest potrzebne.

Wkrótce do Referatu Więziennego Delegatury, w którym również pracował Bartoszewski, przyszedł z Pawiaka gryps zmieniający całkowicie sytuację Artymowicza. Gryps ten wysłał szwagier Zofii Kossak, Alfred Szatkowski. Ukrywająca się autorka źle widzianych w Rzeszy książek o Śląsku pisząc do swego męża do oflagu podpisywała listy imieniem tegoż szwagra. Niemcy jednak zorientowali się, aresztowali Szatkowskiego i usiłowali wydobyć z niego informację o aktualnym miejscu pobytu bratowej. Szatkowski przysięgał, że jej adresu nie zna (co było chyba zgodne z prawdą). Chcąc jednak powiedzieć cokolwiek, żeby tylko gestapo przestało go męczyć, ujawnił jeden z dawnych nieaktualnych adresów Zofii Kossak: Noakowskiego 12 m. 75, czyli - obecny adres Gelbera-Artymowicza! Szatkowski nie miał pojęcia, że był to lokal FOP-u, nadal przez tę organizację użytkowany.

Władysław Bartoszewski wraz ze Stefanem Rodkiewiczem przewieźli wówczas Artymowicza do rodziny Dunin-Wąsowiczów. Potem został skierowany do mieszkania na Nowym Zjeździe, gdzie w jednym pokoju zastawionym szafą przebywało kilkunastu Żydów. Tu poznał swoją przyszlą żonę. Ukrywali się aż do pierwszego dnia Powstania Warszawskiego. Po wojnie Artymowiczowie zamieszkali w Łodzi. W 1946 roku opuścili Polskę, udając się do Francji, a potem do Stanów Zjednoczonych.

POMOC ŻYDOM

Podczas II wojny światowej Żydzi zamieszkujący w Polsce musieli nosić opaski z gwiazdą Dawida, mieszkać w specjalnie wydzielonych gettach. Łatwiej było ukryć się po stronie aryjskiej tym Żydom, którzy nie mieli "złego wyglądu".

Pisarka bolała zwłaszcza nad losem dzieci napotykanych poza gettem. W liście pisanym w 1964 roku wspomina taką sytuację: *Na Nowym Świecie oficer niemiecki złapał taką chudzinę, sześciolatniego najwyżej. Trzymając jak szczenię za kark, podniósł drugą ręką pokrywę od kanału i wpełznął tam dziecko. Przechodnie patrzyli ze zgrozą, ksiądz, który był świadkiem, zaczął błagać o litość nad dzieckiem. Oficer spojrzął na niego ze zdumieniem: "Jude" - objaśnił informacyjnie, zatrasnął klapę i poszedł spokojnie dalej.*

Zofia Kossak od początku włączyła się w akcję pomocy Żydom, zwłaszcza ratowania dzieci. Bardzo były pomocne jej kontakty z Delegaturą Rządu. To ona zabiegała o fundusze dla uciekinierów zza murów. Nękała w tej sprawie rodziny ziemiańskie, inteligenckie. Jej przedwojenne kontakty ze środowiskiem wojskowych były pomocne w wyrabianiu lewych dokumentów, natomiast znajomi księża pomagali w wyrabianiu fałszywych metryk chrztu lub w umieszczaniu dzieci w domach prowadzonych przez siostry zakonne. Jak wspomina Maria Kann, *Na "Weronikę" można było zawsze liczyć, jeśli trzeba było zdobyć dla kogoś pieniądze czy ubrania. Kierowała bowiem konspiracyjną komórką zwaną popularnie: O c h r o n k ą albo W y d z i a ł e m z d y c h u l c ó w*, czyli ludzi wynędzniałych, głodnych, potrzebujących natychmiastowego rauunku. *Do niej biegalam, kiedy potrzebna była pomoc żydowskim dzieciom [...].*

Niełatwo było znaleźć kryjówkę dla małych uciekinierów z getta, zwłaszcza jeśli rysy dziecka zdradzały jego pochodzenie.

Kiedyś, nie wiem już, jakim sposobem, trafiła do "Weroniki" mała dziewczynka o drobno kręconych włosach i ostrym semickim nosie. Biegałyśmy po mieście wlokąc ją za sobą i truchlejąc, kiedy kto na nią spojrzał. Wszędzie odmawiano przytulku. Wreszcie wylądowałyśmy we trójkę na Chłodnej, u przyjaciół pani Zofii. Pani domu na widok małej zachnęła się i prosiła, żebyśmy ją czym prędzej zabierały, bo właśnie ma przyjechać znajomy, któremu t a k i e g o dziecka pokazać nie sposób. Siedziałyśmy same w kuchni, rozmyślając ponuro o tym, że trzeba znów wyjść na ulicę i znów chodzić od domu do domu.

Gdyby tak porozumieć się z jakimś Domem Dziecka albo klasztorem - głośno rozważała pani Zofia. - Na pewno znalazłabym kogoś zanego, kto zająłby się małą. A tak...

Naraz rozjaśniła się

- Już wiem - szepnęła pochylając się do mnie - wiejemy stąd, a jutro zabierzemy małą.

- Jak to? A pani S.?

- Przecież nie wyrzuci jej na ulicę!

Skradając się na palcach po cichutku wyszłyśmy na kuchenne schody, a potem już z pomocą wyknęłyśmy się na ulicę. Dziewczynka nawet nie spojrzała na nas. Siedziała na stołeczku ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Nazajutrz z zachowaniem wszelkich ostrożności przewieziono dziewczynkę do jednego z Domów Dziecka, gdzie na nią oczekiwała, wyszukana przez panią Zofię, z a c n a o s o b a.

W jakiś czas potem małą zaopatrzone w fałszywe dokumenty i była jako tako zabezpieczona, jako że kościół na Bielanach dostarczał nam prawdziwych metryk po zmarłych dzieciach swej parafii.

O losach innej rodziny żydowskiej uratowanej z krakowskiego getta opowiedziała mi Maria Łopuszańska, córka Janiny Jętkiewiczowej, spokrewnionej z rodziną profesora Józefa Birkenmajera, bliskiej współpracownicy Zofii Kossak:

Jętkiewiczowie mieszkali wówczas przy ul. Twardej 11. W ich mieszkaniu bardzo często odbywały się komplety gimnazjalne, szkolenia podchorążówki, przechowywano bibułę. Pani Zofia miała tego świadomość i starała się nie wykorzystywać tego lokalu do innych celów. Jednak w 1942 poprosiła ich o udzielenie schronienia dla uciekinierów z krakowskiego getta. Chodziło o rodzinę Feldmanów.

Część Żydów (10 rodzin) schroniła się na terenie getta, ukrywając się w piwnicy. Mężczyźni po prostu zamurowali ich. Była tam Róża Feldman z dwiema córkami Ewą i Janką (znam ich późniejsze imiona). Warunki były straszne. Jedna z matek zastłoniła usta dziecku aby nie płakało i okazało się, że niechcący je udusiła. Zamurowani byli przez kilka dni. Tuż przed wywózką mężczyzn z getta pan Feldman (którego też wywieziono) odmurował ich. Pani Róża wraz z córkami ukryły się w ubikacji na podwórzu. Było bardzo zimno. Ewa z matką przez całą noc trzymały obluźowane drzwi (żeby wyglądało to tak, że nikogo tam nie ma), a najmłodszej Janeczce kazały ukucnąć. Rano postanowiły wyjść stamtąd. Trafiły na kordon Wehrmachtu. Pani Róża podeszła do jednego z nich i podsunęła mu dwie garście biżuterii i złotych zębów. I przeszły. Wyszły z getta.

W Krakowie poszły do dozorczy domu, gdzie przed wojną mieszkali rodzice pani Róży Zwanzigerowie. Dwaj synowie dozorczy byli czynni w konspiracji. Zbiegom pozwolono się wykąpać, udzielono noclegu. Dzięki kontaktom rodziny dozorczy trafiono na łączniczkę pani

Zofii "Krystę". Ponieważ Ewa Feldman miała odmrożone nogi, "Krysta" umieściła ją dzięki znajomościom w krakowskim szpitalu a matkę z Janeczką przewiozła do Warszawy. Przyjechały już z fałszywymi dokumentami wyrobionymi na nazwisko Kwiatkowska. Zastanawiano się, gdzie je umieścić. Pani Zofia poprosiła o pomoc Janinę i Henryka Jętkiewiczów. Pan Henryk był przeciwny tej propozycji, a jednak nie potrafił odmówić pani Zofii. Tylko dla Pani to robię - powiedział.

Ponieważ obie panie były w dość złym stanie zdrowia, Janina Jętkiewiczowa załatwiła im badania lekarskie. Okazało się, że Róża Feldmanowa miała zapalenie płuc. Lekarz kazał wywieźć je na wieś. Pani Ulanowska umieściła je w Milanówku. Ponieważ matka przebywała cały czas z córką trzymając ją przy sobie i Janeczka zaraziła się gruźlicą. Wobec tego pani Jętkiewiczowa umieściła chorą matkę w Szpitalu Dzieciątka Jezus a Janeczkę (miała wtedy około siedmiu lat) zabrała na Twardą do siebie. Dziecko nie wyglądało zbyt dobrze, zaczęło chudnąć, miało torsję.

Wywieziono ją natychmiast do sanatorium w Otwocku. Przebywała tam przez dwa turnusy. Rodzina Jętkiewiczów odwiedzała ją co tydzień dowożąc jedzenie.

Janeczka przywiązała się do Janiny Jętkiewiczowej i cały czas mówiła: - Ja chcę do pani. Do pani. - Jak zaczniesz przybywać na wadze, to wrócisz na Twardą.

Stopniowo stan zdrowia dziewczynki zaczął się poprawiać. Janeczka wróciła do Jętkiewiczów. Miała za koleżankę córkę Janiny Jętkiewiczowej Marysię.

W lipcu 1944 r. stan zdrowia Róży Feldman uległ pogorszeniu. Szarytki ze szpitala nie dawały szans na przeżycie. Chora chciała zobaczyć Janeczkę. Pani Jętkiewiczowa wystroiła więc Janeczkę i przyjechały do szpitala. Jednak łóżko pani Róży było puste. Janeczka nie zobaczyła już matki.

W międzyczasie Ewa Feldman wyszła ze szpitala i znalazła się w Warszawie. Spędziła u Jętkiewiczów kilka dni, a potem Zofia Kossak wywiozła ją do Gór (obecnie gmina Promna) do swojej znajomej Hanny Sadowskiej, żony pułkownika Ignacego Lubicz-Sadowskiego (w dawnych pokojowych czasach dowódcy Zygmunta Szatkowskiego). Ewa mieszkała u nich do końca wojny. Zachowała się nawet fotografia pani Sadowskiej z Ewą. O ile Róża i Janeczka Feldman były blondynkami, to Ewa miała ciemne włosy i semickie rysy. Po wojnie została umieszczona w sierocińcu dla żydowskich dzieci. Ignacy Lubicz-Sadowski zmarł 15 maja 1945 r. i przypuszczam, że Anna Sadowska nie była w stanie wychować Ewy.

Janeczka cały czas była z Jętkiewiczami. Podczas Powstania Warszawskiego Janina Jętkiewiczowa była komendantką oddziału sanitarnego batalionu "Odwet" odcinek "Golski", obwód I Warsz., rejon 3. Jej syn Jerzy także brał udział w powstaniu. Henryk Jętkiewicz był wtedy chory.

Dom na Twardej zawalił się i rodzina musiała szukać innego schronienia. Trafili na ulicę Sienkiewicza. Po upadku powstania cała rodzina wraz z Janeczką znalazła schronienie u brata pani Janiny Mieczysława Markiewicza. Henryk Jętkiewicz już wtedy uczył Janeczkę angielskiego w nadziei, że to jej pomoże, gdyby chciała wyjechać potem za granicę do swojego wujka Zwanzigera w Brooklinie. Adres najbliższego krewnego dziewczynek zdążyła podać Róża Feldman przed śmiercią.

Wujek został zlokalizowany dzięki pomocy Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża (tamten adres był nieaktualny). Zaczął przysyłać swoim siostrzenicom paczki i chciał, by do niego przyjechały. Janka była bardzo przywiązana do Janiny Jętkiewiczowej i nie chciała wyjeżdżać. Ewa z kolei powiedziała, że sama nie pojedzie.

Poza tym Janeczka była już wtedy katoliczką. Zofia Kossak dała zadanie bojowe swojemu synowi Witoldowi i Marysi Jętkiewiczównie, aby przygotowali Janeczkę do chrztu, a potem do I Komunii Św. Do Komunii Św. przystąpiła chyba w lipcu 1944 r.

Kiedy Ewa Feldman opuściła sierociniec, pani Anna Sadowska pomogła jej w otrzymaniu mieszkania na Żoliborzu. Janeczka zamieszkała więc razem z siostrą.

Przeżycia wojenne wycisnęły w psychice Ewy Feldman swoje piętno. Pani Jętkiewiczowa umieszczała ją trzykrotnie w szpitalu psychiatrycznym w Tworkach [czy Pruszkowie?]. Zaszła w ciążę. Synek Adaś przyszedł na świat w Górach u pani Sadowskiej. Potem wyszła za mąż i wyjechała do Szwecji. W małżeństwie nie była szczęśliwa. Znowu zaczęła mieć kłopoty ze zdrowiem. Mąż umieścił ją w szpitalu i ubezwłasnowolnił ją. Zabrał odszkodowanie, jakie Ewa otrzymała, i znikł. Lekarze podleczyli Ewę. Po opuszczeniu szpitala zaczęła prowadzić gospodarstwo dyplomacie. I kiedyś, gdy była sama odkręciła gaz. A może był to nieszczęśliwy wypadek. Adasia adoptowało małżeństwo Szwedów.

Janki życie ułożyło się dobrze. Po maturze wyjechała na rok do Stanów Zjednoczonych. Po powrocie wyszła za mąż. Ma już dorosłą córkę.

Uratowanych istnień ludzkich dzięki Pani Zofii (a raczej całemu łańcuchowi łączniczek i znajomych) było znacznie więcej.

W wystawionej w mieszkaniu Lasockich szopce była też mowa o pomocy dla ukrywających się Żydów:

Ach Ciociu daj forsy, daj forsy,
Bo nowy jest Żyd.
Jak nie damy mu zycia,
letniska, okrycia,
Będzie wielki wstyd.

Pojawiała się Żydówka, która śpiewała:

ja jestem Rebeka
i spokojnie czekam,
Aż ktoś z FOP-u lub SOS-u
Przyjdzie
No i wszystkim zajmie się.
Ten szum gwałt
Ja sobie wyobrażam.
Pieniądzy brak
A przecież dadzą
Zegarek no i frak.

Już 14 października 1942 roku w organie Delegatury Rządu "Rzeczpospolita Polska" (nr 18) ukazała się informacja: *Od Redakcji. Proszeni jesteśmy o podanie do wiadomości publicznej, iż na skutek inicjatywy szeregu organizacji społecznych z kół katolickich i demokraty-*

cznych, organizuje się Komisja Pomocy Społecznej dla ludności żydowskiej, dotkniętej skutkami bestialskiego prześladowania Żydów przez Niemców. Komisja będzie się starała w miarę możliwości i środków oraz możliwości, z jakimi liczyć się trzeba w okupacyjnych warunkach życia kraju, nieść pomoc ofiarom hitlerowskich gwałtów.

27 września 1942 roku w porozumieniu z Delegaturą Rządu powstał Tymczasowy Komitet im. Konrada Żegoty, kierowany przez Zofię Kossak i Wandę Krahełską-Filipowiczową. W jego skład weszli: Anna Lasocka, Władysław Bieńkowski, Władysław Bartoszewski, Ignacy Barski z FOP-u, Janina Raabc-Wąsowiczowa i Czesława Wojeńska ze Stronnictwa Demokratycznego. Współpracowali także przedstawiciele Związku Syndykalistów Polskich ("Sprawy") Stefan Szwedowski i Zofia Demciuch.

Twórcą kryptonimu organizacji była Zofia Kossak. Konrad Żegota to postać fikcyjna. Nazwisko zaczynało się na literę "Ż" (jak Żydzi) i pozwalało zarówno w rozmowie jak i w dokumentach (np. pokwitowaniach przekazywanych sum) uniknąć słowa "Żyd". Także w razie wpadki Niemcy mogli potraktować tę organizację jak zwykłą organizację charytatywną.

Tymczasowy Komitet im. Konrada Żegoty został rozwiązany 4 grudnia 1942 roku na rzecz powstałej w jego miejsce Rady Pomocy Żydom.

W sprawozdaniu sporządzonym przez Witolda Bieńkowskiego "Jana" podano, że Komitet udzielił pomocy ponad 180 osobom, w tym około 130 dzieciom. Pomoc polegała m.in. na udzielaniu doraźnych zasiłków pieniężnych, zaopatrzeniu w odzież, żywność i pracę, dostarczaniu potrzebującym mieszkań i noclegów czasowych, a także umożliwianiu legalizacji (czyli wyrobienia fałszywych dokumentów). Na pomoc dla ukrywających się Żydów komitet otrzymał od Delegatury Rządu 70 000 zł.

W skład nowo powstałej Rady Pomocy Żydom Zofia Kossak nie weszła, ale nadal aktywnie zabiegała o fundusze i pomoc. Z ramienia FOP w nowo powstałej Radzie Pomocy Żydom znalazł się Władysław Bartoszewski "Ludwik". W radzie znalazł się także jako przedstawiciel Delegatury Rządu Witold Bieńkowski "Jan" (kierownik Komórki Więziennej w Departamencie Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu, od lutego 1943 roku również kierownik Referatu Żydowskiego DR).

Jako powód rozwiązania Tymczasowego Komitetu im. K. Żegoty podano: *Przed wszystkim brak odpowiednich środków finansowych, który wywołał niejasną sytuację dla organizacji i osób wchodzących w skład Tymczasowego Komitetu. Poza tym nieproporcjonalna w stosunku do udzielanych środków propaganda wśród społeczeństwa żydowskiego czyniona przez ośrodki zbliżone do czynników oficjalnych (Wydział Prezydialny DR, Ref. dla spraw żydowskich w BIP-ie). Stwierdzenie niemożności współdziałania z przedstawicielami żydowskich organizacji politycznych (wniesienie momentów politycznych do pracy wyłącznie charytatywnej).*

Wydaje się słuszna ocena decyzji Zofii Kossak dokonana przez Teresę Prekerową w monografii *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie 1942-1945: TKPŻ [Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom] w tym składzie osobowym, w jakim powstał, nie mógł poprowadzić akcji pomocy na szerszą skalę. Zofia Kossak była programowo przeciwna wszelkim organizacyjnym rygorom, rozumiała działalność opiekuńczą jedynie jako ruch spontaniczny, nie wymagający koordynowania. Pracę indywidualną uważała za najbardziej odpowia-*

dającą warunkom konspiracji. Część członków TKPŻ podzielała to nastawienie. Każdy z nich miał w swej gestii kilku lub kilkunastu uciekinierów z getta, którymi opiekowali się ludzie mu znajomi czy wskazani przez znajomych, lub którzy zostali ulokowani w domach zakonnych, domach opieki społecznej itd. Wyrabiano im "aryjskie" papiery, dostarczano pieniądze, a przy ewentualnym "spaleniu się" mieszkania wyszukiwano nowych gospodarzy. Jednakże brak ściślejszych kontaktów między osobami uczestniczącymi w pracach Komitetu powodował rozproszenie wysiłków, dublowanie czynności, poświęcanie mnóstwa energii dla osiągnięcia jednostkowych celów.

Pani Zofia włączyła się w akcję pomocy Żydom także piórem. Na początku sierpnia 1942 roku ukazała się ulotka *Protest!*, wydana przez FOP (oczywiście anonimowo) w nakładzie 5000 egzemplarzy. Teresa Prekerowa wspomina, że jeden z uratowanych Żydów Paweł Rogalski (dawne nazwisko Szlamowicz) i jego żona równie głęboko przeżyli zetknięcie z *Protestem* Zofii Kossak, którego słowa, pierwsze, jakie przeczytali po stronie "aryjskiej", oznaczały powrót do świata prawdziwych ludzkich wartości. Ucząc się niemal jego fragmentów na pamięć, oboje - jak wspominają - płakali.

Przytoczmy tekst odezwy w całości:

Protest!

W ghetcie warszawskim, za murami odcinającymi od świata, kilkaset tysięcy skazańców czeka na śmierć. Nie istnieje dla nich nadzieja ratunku, nie nadchodzi znikąd pomoc. Ulicami przebiegają oprawcy, strzelając do każdego, kto się ośmieli wyjść z domu. Strzelają podobnie do każdego, kto stanie w oknie. Na jezdni walają się nie pogrzebane trupy.

Dzienna przepisowa ilość ofiar wynosi 8 - 10 tysięcy. Policjanci żydowscy obowiązani są dostarczać ich do rąk katów niemieckich. Jeżeli tego nie uczynią, zginą sami. Dzieci nie mogące iść o własnych siłach są ładowane na wozy. Ładowanie odbywa się w sposób tak brutalny, że mało które żywe dojeżdża do rampy. Matki patrzące na to dostają obłądu. Ilość obłąkanych z rozpaczy i grozy równa się ilości zastrzelonych.

Na rampie czekają wagony kolejowe. Kaci upychają w nich skazańców po 150 osób w jednym. Na podłodze leży gruba warstwa wapna i chloru polana wodą. Drzwi wagonu zostają zaplombowane. Czasem pociąg rusza zaraz po załadowaniu, czasem czeka na bocznym torze dobrą, dwie... To nie ma już dla nikogo żadnego znaczenia. Z ludzi stłoczonych tak ciasno, że umarli nie mogą upaść i stoją nadal ramię w ramię z żyjącymi, z ludzi konających zwolna w oparach wapna i chloru, pozbawionych powietrza, kropli wody, pożywienia - i tak nikt nie pozostanie przy życiu. Gdziekolwiek, kiedykolwiek dojadą śmiertelne pociągi - zawierają będą tylko trupy...

Wobec tej męki wyzwoleniem stalby się rychły zgon. Oprawcy to przewidzieli. Wszystkie apteki na terenie ghetta zostały zamknięte, by nie dostarczały trucizny. Broni nie ma. Jedyne co pozostaje, to rzucenie się z okna na bruk. Toteż bardzo wielu skazańców wymyka się katom w ten sposób.

To samo, co w ghetcie warszawskim, odbywa się od pół roku w stu mniejszych i większych miasteczkach i miastach polskich. Ogólna liczba zabitych Żydów przenosi już milion, a cyfra ta powiększa się z każdym dniem. Ginią wszyscy. Bogacze i ubodzy, starcy, kobiety, mężczyźni, młodzież, niemowlęta, katolicy umierający z Imieniem Jezusa i Maryi, również jak

starozakonni. Wszyscy zawinili tym, że urodzili się w narodzie żydowskim, skazanym na zagładę przez Hitlera.

Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje i - milczy. Milczą kaci, nie chępią się tym, co czynią. Nie zabierają głosu Anglia ani Ameryka, milczy nawet wpływowe międzynarodowe żydostwo, tak dawniej przeczulone na każdą krzywdę swoich. Milczą i Polacy. Polscy polityczni przyjaciele Żydów ograniczają się do notatek dziennikarskich, polscy przeciwnicy Żydów objawiają brak zainteresowania dla sprawy im obcej. Ginący Żydzi otoczeni są przez samych umywających ręce Piłatów.

Tego milczenia dłużej tolerować nie można. Jakiegokolwiek są jego pobudki - jest ono nikczemne. Wobec zbrodni nie wolno pozostawać biernym. Kto milczy w obliczu mordu - staje się współnikiem mordercy. Kto nie potępia - ten przyzwala.

Zabieramy przeto głos my, katolicy-Polacy. Uczucia nasze względem Żydów nie uległy zmianie. Nie przestajemy uważać ich za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski. Co więcej, zdajemy sobie sprawę z tego, iż nienawidzą nas oni więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęścia. Dlaczego, na jakiej podstawie - to pozostanie tajemnicą duszy żydowskiej, niemniej jest faktem nieustannie potwierdzanym. Świadomość tych uczuć jednak nie zwalnia nas z o b o w i ą z k u p o t ę p i e n i a z b r o d n i.

Nie chcemy być Piłatami. Nie możemy czynnie przeciwdziałać morderstwom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować - lecz p r o t e s t u j e m y z głębi serc przejętych litością, oburzeniem i grozą. Protestu tego domaga się sumienie chrześcijańskie. Każda istota, zwąca się człowiekiem, ma prawo do miłości bliźniego. Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera - nie jest katolikiem.

Protestujemy jednocześnie jako Polacy. Nie wierzymy, by Polska odnieść mogła korzyść z okrucieństw niemieckich. Przeciwnie. W upartym milczeniu międzynarodowego żydostwa, w zabiegach propagandy niemieckiej usiłującej już teraz zrzucić odium za rzeź Żydów na Litwinów i ... Polaków, wyczuwamy planowanie wrogiej dla nas akcji. Wiemy również, jak trujący bywa posiew zbrodni. Przymusowe uczestnictwo narodu polskiego w krwawym widowisku spełniającym się na ziemiach polskich, może snadno wyhodować zobojętnienie na krzywdę, sadyzm i ponad wszystko groźne przekonanie, że wolno mordować bliźnich bezkarnie.

Kto tego nie rozumie, kto dumną, wolną przyszłość Polski śmiałyby łączyć z nikczemną radością z nieszczęścia b l i ź n i e g o - nie jest przeto ani katolikiem, ani Polakiem.

Dzięki uprzejmości Teresy Prekerowej otrzymałam odpis listu Zofii Kossak do nieznannej adresatki z 1964 roku (ze zbiorów Władysława Bartoszewskiego). Zofia Kossak pisze w nim: *Ponieważ byłam generalną maszyną do pisania [...], więc i Protest ja redagowałam. Chodziło nam o podanie do wiadomości publicznej okropnych faktów, potępienie ich, zajęcie stanowiska. Protest został rozrzucony w dużej ilości po kraju. [...] Po pewnym czasie zostałam wezwana do jednego z ministrów Delegatury Rządu, pseudonim Zawadzki, gdzie zastałam p. Alinę Zabielską (prawdziwe nazwisko Tyusowa Filipowiczowa [Wanda Krahełska-Filipowiczowa], uroczą, wspaniałą kobietą). Ja reprezentowałam F.O.P ona P.O.D. [Polska Organizacja Demokratyczna]. [...] Przed Zawadzkim leżał Protest. Aha, zapomniałam powiedzieć, że tuż po Proteście pismo Podu [...] gorąco mu przyklasnęło [chodzi o ar-*

tykuł "Czarne nasienie" w piśmie "Nowe Drogi" z 21 VIII 1942] i zaznaczyło swą solidarność z nami. Zawadzki zapytał, czy jesteśmy gotowe poprzeć czynami powyższą wypowiedź. Odpowiedziałyśmy, że oczywiście, tak. Dobra - oznajmił. Pieniądze dam, a wy ratujcie Żydów. Proszę o plan jak najprędzej. Wysłaliśmy obie trochę kołowate. Ratujcie Żydów. Jak? Mnóstwo ludzi ratowało już na własną rękę (ja też, ona też). Klasztory męskie i żeńskie już były pełne, aż pękały, już w wielu domach uczono rzekomych członków rodziny względnie lokatorów pacierza i znaku Krzyża, żeby się nie zasypali. Już w związku z tym było wiele ofiar, gdyż Niemcy w razie wykrycia Żydów mordowali wszystkich mieszkańców. Sądzieli, że tym terrorem odstraszą ludzi od okazywania Żydom pomocy. Rozumiałyśmy jednak obie, że to były krople w morzu, indywidualne wysiłki, a tu Rządowi chodzi o akcję mającą istotne znaczenie. O ilość.

Wspomniany Zawadzki to Leopold Rutkowski, używający także pseudonimów "Trojanowski", "Muszyński". Od lutego 1941 do lipca 1944 roku był dyrektorem Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu RP na Kraj. I właśnie on odegrał ważną rolę w powstaniu najpierw Tymczasowego Komitetu im. Konrada Żegoty, a następnie powołanej w jego miejsce Rady Pomocy Żydom ("Żegota"). Łącznikiem ze strony tej organizacji był Witold Bieńkowski ("Jan", "Kalski", "Wencki"), stały przedstawiciel Delegatury Rządu w RPŻ.

Jak widać, fakt ukazania się *Protestu* spowodował także organizacyjny udział w pracach Tymczasowego Komitetu im. Konrada Żegoty. Pisarka sprawom żydowskim poświęciła także inne publikacje.

W numerze z kwietnia-maja 1943 roku "Prawdy Młodych" ukazał się kolejny jej artykuł *Wokół płonącego ghetta...* i w nim także podkreśla: *My katolicy, rozumiejący doniosłość tych wypadków, słyszący jęki mordowanych, patrzący na łunę pożaru - nie możemy wobec nich zachować się biernie. Naszym obowiązkiem jest pomagać prześladowanym Żydom, nie dbając o to, czym się oni za tę pomoc odplacają teraz, lub odplacą w przyszłości. Ta pomoc nie może ograniczać się wyłącznie do sukursu materialnego.*

Równocześnie musi nadążać pomoc duchowa. Modlitwa za ginących, uświadomienie ich, że z męki obcej mogą uczynić wielki stos ofiarny przyspieszający odrodzenie, usuwający z narodu niegdyś wybranego ciężącą na nim klątwę. Pouczanie Żydów, że siłą pragnienia mogą być zbawieni w obliczu śmierci łaknąc chrztu i prawdziwej wiary. Dusze ich oczyści i odkupi chrzest krwi, równie ważny jak chrzest wody...

Oprócz działalności we Froncie Odrodzenia Polski Pani Zofia działała także w Społecznej Organizacji Samoobrony (SOS). SOS była, jak głosił projekt statutu, stowarzyszeniem organizacji politycznych, społecznych, zawodowych i wszelkich innych, które zgłoszą do niej swoje przystąpienie i zostaną przyjęte.

Projekt statutu SOS podpisali przedstawiciele 40 organizacji konspiracyjnych, w tym także FOP. 4-stronicowy ten dokument określał zadania organizacji:

a) *Akcja wydawnicza odnośnie zamierzeń i zarządzeń eksterminacyjnych; urzędów, biur i aparatu administracyjnego wroga w zakresie stosowanych przez niego metod rabowania i*

wyglądania kraju, oraz niszczenia aktywnych elementów społecznych, jego ludności oraz różnych form i systemów podstępnych zarządzeń eksterminacyjnych.

b/ Informowanie społeczeństwa o tych zamierzeniach i zarządzeniach oraz udzielanie wyjaśnień o ukrytych planach wroga; udzielanie dyrektyw co do sposobu reakcji, pomocy i przeciwdziałania.

c/ Opieka i pomoc dla zagrożonych lub objętych obławami, branką, aresztowaniami, wysiedleniami [...].

d/ Utrudnianie wrogowi branek, łapanek, obław, aresztowań i wywozeń [...].

e/ Ułatwianie zagrożonym samoobrony, ucieczki i ujęcie tej pomocy w ramy organizacyjnego kierownictwa.

W opracowanej przez Departament III Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego informacji z 3 listopada 1953 roku o komórce SOS podano, że powstała ona pod koniec 1942 roku. W ramach SOS utworzono Wydział Ochrony Człowieka, którym kierowała Zofia Kossak "Weronika" pracowniczka delegatury rządu londyńskiego. (Działaczka FOP).

Do tej informacji załączono kartkę, na której przy nazwisku Zofia Kossak-Szczucka "Weronika" podano informację: *przebywa za granicą*. Gdyby była w kraju, na pewno znalazłaby się w więzieniu.

Latem 1943 roku pani Zofia wynajęła domek lub pokój dla swojej matki. Starła się odwiedzać ją co tydzień. Bardzo często przyjeżdżały też łączniczki. Ponieważ były to w większości młode dziewczęta, gospodyni domu była zgorszona. - Jak wy się zachowujecie. Trwa wojna, a wy nic, tylko się śmiejecie. Później pani Zofia wytłumaczyła, że z tą młodzieżą nie jest źle, że w Warszawie wszyscy biorą udział w konspiracji. Od tamtej pory gospodyni matkowała całej grupie. Zawsze miała dla nich świeże mleko.

Pewnej sierpniowej niedzieli nawet robiono zdjęcia (pełna konspiracja!). Mam odbitki przedstawiające panią Zofię, Annę Kossakową, "Anulkę" Lasocką.

A tak w ogóle to pani Zofia miała kilka niecodziennych przygód podczas wojny. O niektórych napisała sama już po wojnie. Niecodzienną przygodę przeżyła z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Opisała to w opowiadaniu *Nagłące wołanie* ("Życie", Londyn, 1953 nr 7).

Pisarka bardzo często bywała na Krakowskim Przedmieściu. Z reguły dochodziła z Radnej piechotą do kościoła św. Anny i tam wsiadała do tramwaju. Po drodze mijala gmach Towarzystwa Dobroczynności, który na fasadzie miał napis "Res sacra miser" (biedny rzeczka święta), a na parterze mieścił sklep z dewocjonaliami. Przechodziła także obok zniszczonego we wrześniu 1939 roku budynku Resursy Kupieckiej.

Pewnego zimowego marcowego dnia już dobiegała do tramwaju, kiedy usłyszała, że ktoś ją woła. Zawróciła, ale nikogo nie było na ulicy. Doszła do sklepu z dewocjonaliami. Tutaj jej uwagę przyciągnął wystawiony w oknie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, umieszczony pośród gipsowych figurek świętych. Z reguły mijając ten sklep pisarka często odwracała głowę nie chcąc patrzeć na tak brzydkie, że aż bluźniercze figurki. Teraz jednak utkwiała wzrok w obrazie. Sama tak go opisała:

Był ciemny ze starości, malowany niedołężnie. Ponad głową Jasnogórskiej dwa aniołki niezgrabne, podobne do prosiąt, trzymały wstęgę z Pozdrowieniem Anielskim. Kształt liter

oraz pisownia wskazywały na wiek XVIII. Dzieciątko było sztywne, rysunek twarzy Bożej Rodzicielki wadliwy. Rzuciło się w oczy, że malarz nie miał pojęcia o swoim rzemiośle. A jednak...

Mimo swojego nieuctwa osiągnął siłę wyrazu. Nie umiał odtworzyć rysów, lecz oddał spojrzenie. Oczy do połowy przysłonięte powiekami, oczy splekane, a pełne czulej litości. Po tych oczach poznałbyś Jasnogórską na końcu świata. Po tych oczach poznawałeś również, że artysta malował bezpośrednio według Cudownego Wizerunku i że czynił to na klęczkach. Pędzel jego był nieudolny, modlitwa skrzydlata.

Pisarka poczuła się nim zauroczona. Na razie udała się na spóźnione zebranie redakcyjne (prawdopodobnie Peżetki, czyli pisma "Polska Żyje!"). Cały czas nie mogła się skupić i myślała tylko o obrazie. Wieczorem zaszła do sklepu i zapytała o cenę. Obraz został wstawiony w komis i właściciel żądał 300 zł. Była to zawrotna suma i zupełnie nieosiągalna dla pani Zofii. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko oglądanie go przez szybę i sprawdzanie czy ktoś go nie kupił. Życzliwe sąsiadki widząc jej obsesyjne zainteresowanie wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej radziły jej, by dowiedziała się kto jest jego właścicielem i spróbowała go kupić za niższą cenę.

- Mam się targować o taki obraz? Nie!

Potem nawet chciały się złożyć i kupić go w prezencie, ale gdy udały się do sklepu i zobaczyły go, stwierdziły, że szkoda pieniędzy na taki bohomas. Pani Zofia jednak nieustannie o nim marzyła. Nawet jak wyjeżdżała poza Warszawę, po powrocie zawsze sprawdzała, czy obraz nie jest jeszcze sprzedany.

Minęło kilka miesięcy. 30 sierpnia spotkała Szczepana Jeleńskiego, znajomego jeszcze sprzed wojny. Jeleński, też pisarz, pracował wówczas jako kierownik działu literackiego i wydawniczego w Księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu. Okres okupacji spędził głównie w Warszawie, działając w podziemnych organizacjach księgarskich i oświatowych, a także pomagając finansowo wielu pisarzom. I on to właśnie zobaczył pisarkę w dość zniszczonej kurtce. Nie zastanawiając się wyciągnął z kieszeni wszystkie pieniądze, jakie miał z sobą, i wręczył jej á conto przyszłych wydań. Po policzeniu okazało się, że jest to suma 300 zł.

Anna Kossakowa nieśmiało zasugerowała, aby kupić za te pieniądze buty na zimę. Sąsiadki, starszuszki ze schroniska, doradzały zakup ciepłej jesionki. Niestety, żadne argumenty nie trafiły jej do przekonania. Kupiła wymarzony obraz. Wszyscy uważali, że postąpiła bardzo nierozsądnie. A ona sama była uszczęśliwiona.

Tego samego dnia w nocy wszyscy usłyszeli straszny huk. Syreny wyły na alarm. Warszawa była bombardowana. Wszyscy zeszli do piwnicy, tylko pani Zofia pozostała z matką, której chodzenie sprawiało dużo trudności. W pewnej chwili dom nawet się zatrzęsł. Bomba musiała upaść gdzieś niedaleko. Kiedy bombardowanie się skończyło, wszyscy poszli spać. Rano do ich pokoiku wpadła stróżka z wiadomością, że ponoć w nocy bomba uderzyła w gmach Towarzystwa Dobroczynności. Pani Zofia postanowiła to zaraz sprawdzić. Wiadomość o zniszczeniu budynku okazała się prawdziwa. Tam gdzie był sklep z dewocjonaliami, ziała teraz olbrzymia dziura. Patrząc na to utwierdziła się w przekonaniu, że obraz Matki Boskiej Częstochowskiej musiał być ocalony.

W pokoiku zastała tłum kobiet wpatrujących się w uratowany obraz. I nikt już nie mówił, że postąpiła wielce nierozsądnie kupując go. A obraz cały czas był z nią na Radnej. 26 lipca 1942 roku w dniu imienin Anny podarowała go córce, czyniąc stosowny zapis na stronie odwrotnej obrazu. Opuszczając schronisko po upadku powstania zabrały go ze sobą. A potem wywędrował wraz z nimi do Anglii. Teraz zdobi szwajcarskie mieszkanie Anny.

Inna przygoda okupacyjna opisana przez panią Zofię przydarzyła się jednej z łączniczek, Polci. Dziewczyna przyszła na punkt kontaktowy zrozpaczona. Okazało się, że w tramwaju ukradziono jej portfel. Przeżyłaby stratę nawet pieniędzy czy kartek na chleb, ale w portfelu miała schowane grypsy z Pawiaka. Polcia pomyliła się i zamiast schować grypsy do konspiracyjnego schowka (kieszeni wszytej w dole spódnicy), włożyła je do portfela. Do skrytki powędrowały przez pomyłkę kartki na chleb. Łączniczka nie mogła się uspokoić. Bała się o losy nadawców i adresatów grypsów. Nie było nadziei, że złodziej odniesie zgubę ponieważ kennkarta była fałszywa, a adres opiewał na zburzony dom.

Kiedy do lokalu wszedł "Roch" i wysłuchał całej historii, postanowił skontaktować się z szefem warszawskich złodziei. Z przedstawicielami tego fachu miał bowiem kontakty od dawna: wiele razy ci chłopcy naklejali na jego polecenie ulotki konspiracyjne na murach. Spotkanie doszło do skutku i polecono "Rochowi", aby czekał następnego dnia na przystanku na ul. 6 Sierpnia naprzeciwko szpitala między 7.00 a 7.15. Prawie w ostatniej chwili do czekającego "Rocha" i Polci podeszło dwóch młodzieńców ubranych na sportowo. Jeden z nich ukradkiem podał torbkę, w której uszczęśliwiona Polcia poznała swoją własność. Drugi z młodzieńców o co nieco nadwątlonej urodzie usiłował osłonić posiniaczoną twarz. Okazało się, że szef sprzął go.

Pani Zofia często wyjeżdżała poza Warszawę. Odwiedzała kilkakrotnie Hannę Sadowską w Górach (obecnie gmina Promna), bywała w Zagórkach u Bispingów, odwiedzała majątek Haliny Królikowskiej w Olszynach niedaleko Warszawy. Najczęściej jeździła na rowerze. Był to dosyć bezpieczny sposób podróżowania, ponieważ Niemcy bardzo rzadko rewidowali rowerzystów. Dla kamuflażu woziła z sobą kawał stoniny czy kiełbasy. Wołała, by Niemcy wzięli ją za szmuglerkę, niż podejrzewali, że wozi z sobą bibułę. Kiedyś opowiedziała swojej kuzynce Janinie Lasockiej, że koło Baniochy mijając chłopca jadącego wozem. Wyśpiewywał on monotonicznie, że "na przystanku Niemcy rewidują, na przystanku Niemcy rewidują...". Pani Zofia postyszawszy tę nowinę czym prędzej wjechała boczną dróżką do pobliskiego lasu. Tutaj spotkała jeszcze kilkoro rowerzystów także ostrzeżonych przez tego samego chłopca.

Innym razem - wspomina Janina Lasocka opierając się na relacji samej pisarki - *myszkowała w okolicach Kielc. Zapadał wczesny, jesienny mrok, postanowiła więc nocować w Kielcach i zaczęła spotkanego na szosie kolejarza, prosząc go, aby jej wskazał dobry nocleg. Kolejarz skierował ją na przedmieście Słowik do bogatych mieszczan, którzy we własnym domu, odpowiednio urządzone, trudnili się zawodowo wynajmowaniem pokoi letnikom. Ponieważ zbliżał się koniec października, było więcej niż pewne, że znajdzie tam wolny pokój i Zofia będzie mogła wygodnie przemocować. Podziękowała, skrzyła z szosy we wskazanym kierunku, ale nie ujechała jeszcze kilkudziesięciu kroków, gdy dogonił ją zdyszany*

kolejarz. - Zapomniałem panią uprzedzić - mówił przerywanym ze zmęczenia głosem - że politycznie ... to tam trzeba ostrożnie.

Płacąc zaufaniem za zaufanie przyznała się nieznajomemu, że nie ma przy sobie żadnych dokumentów. - W takim razie - zdecydował kolejarz - nie może pani tam nocować. - Dał jej adres wraz z objaśnieniem, że są to ludzie ubodzy, ale prawdziwi, patriotyczni Polacy. - Prawdopodobnie będzie pani musiała nocować w stodole, ale za to zupełnie bezpiecznie.

Tak też się stało. Zofię przyjęto gościnnie, nawet serdecznie, z zawstydzieniem, że nie mogą służyć jej noclegiem lepszym niż na sianie. Przespała noc spokojnie.

Z kolei należy wspomnieć o innym jeszcze wydarzeniu. Pisarka знаła bardzo dobrze Gustawa Morcinka, pisarza mieszkającego przed wojną w Skoczowie. Nie wiadomo, w jaki sposób dotarła do Warszawy wiadomość, że Morcinek zginął w obozie koncentracyjnym Dachau: w "Biuletynie Informacyjnym" w 1940 roku ukazał się jego nekrolog. Na wieść o tym Zofia Kossak także napisała nekrolog, który ukazał się w numerze 51/52 pisma "Polska Żyje!" z dnia 20 maja 1940 roku. Wkrótce okazało się, że była to informacja fałszywa. W numerze 5 z 1941 roku umieszczono zatem artykuł *Gustaw Morcinek żyje*, wyjaśniający tę sprawę.

Stefan Korboński we wspomnieniach zatytułowanych *Bohaterowie państwa podziemnego - jak ich znałem* opisał swoje kontakty konspiracyjne z pisarką. W czasie okupacji był szefem Kierownictwa Walki Cywilnej (KWC) i kilkakrotnie się z nią spotykał. Pewnego razu umówiona z Korbońskim w kwaterze głównej KWC, przyprowadziła ze sobą, nie uzgodniony z nikim, dziewczynę ze wsi zamojskiej, łamiąc w ten sposób zasady konspiracji. Dziewcznę chciało pracować w Walce Cywilnej. Pan Stefan, mimo że był pełen podziwu i uznania dla działalności naszej bohaterki, musiał ją skarcić. Czy każdy kandydat do pracy w konspiracji musi docierać do swego szefa? Skończyło się na podaniu dziewczynie kontaktu do kierownika Walki Cywilnej na Zamojszczyźnie. Dziewczyna okazała się zresztą cennym nabytkiem.

Stefan Korboński pozwolił, aby Zofia Kossak kontaktowała się bezpośrednio z nim. Cenił ją za aktywną działalność w FOP: *...szła swoją drogą apelując do uczuć religijnych ludności katolickiej, przestrzegając ją przed biernością i wzywając do udziału w walce cywilnej z Bogiem w sercu. Nie znam żadnej innej organizacji konspiracyjnej o manifestacyjnym obliczu katolickim... Odnosiłem się do niej z szacunkiem między innymi dlatego, że nie domagała się ode mnie wprowadzenia do Delegata Rządu ani do Komendanta Głównego AK. Widocznie nie było to jej potrzebne do kroczenia własną, wybraną przez siebie drogą, co czyniła samodzielnie. Stąd oceniałem ją jako wybitną jednostkę i działaczkę podziemia.*

Ta aktywna działaczka zwróciła się kiedyś do niego z prośbą, aby przyjąć krewnego do zespołu radiostacji "Świt". Większość ludzi była przekonana, że radiostacja nadaje gdzieś z Polski, tymczasem, mieściła się ona pod Londynem. Najnowsze wiadomości o tym co się dzieje w kraju, jej zespół otrzymywał codziennie drogą radiową z Warszawy. Informacje te szyfrowała żona Korbońskiego, Zofia. Zofia Kossak też była przekonana o lokalizacji radiostacji w kraju. Szef KWC nie chciał wyprowadzać jej z błędu i usiłował załatwić sprawę dyplomatycznie. Szczegółowo wypytywał ją o kwalifikacje młodzieńca. Kiedy okazało się, że oprócz zapału nie ma żadnych kwalifikacji, stwierdził, że radiostacja "Świt" zatrudnia najlic-

pszych specjalistów i nie mogą sobie pozwolić na zatrudnienie laika. Pani Zofia wycofała swoją prośbę.

Oczywiście pisarka знаła Korbońskiego tylko z pseudonimu. Po wojnie spotkała go zapewne w maju lub czerwcu 1945 roku podczas wizyty u Jakuba Bermana - o czym niżej - z żoną na Pradze w gmachu mieszczącym ministerstwa. *Spotkaliśmy ją w hallu, gdzie rzuciła się nam na szyję witając radośnie. Powiedzieliśmy sobie wzajemnie wszystkie miłe rzeczy, jakie należało, i doszło do pożegnania. Odchodząc od nas, po paru krokach nagle się odwróciła i zawołała: - Ale jak wy się nazywacie?! - Odkrzyknęliśmy: - Korbońscy!*

W NIEMIECKICH RĘKACH

W poniedziałek 28 września 1943 roku łączniczka "Urszula" zgłosiła się na Radną z trzema paczkami "Prawdy", które należało dostarczyć do mieszkania Lasockich na Brackiej. Stamtąd miał je odebrać kurier z Krakowa. Pani Zofia tego dnia wybierała się do Zielonki odwiedzić matkę. Miała ze sobą koszyk z bielizną i jedną paczkę z "Prawdą". "Urszula" niosła dwie paczki i torbę z konspektami i fotografiami z Zielonki. Obie konspiratorki wyszły razem. Pani Zofia chodziła zwykle ulicą Oboźną, gdzie na schodach zawsze siedział żebrak, któremu pani Zofia zawsze coś dawała. Tego dnia miała ze sobą tylko 500 zł, czyli "górala", żadnych drobnych. Zaproponowała więc "Urszuli", by przeszły inną trasą dochodząc do Tamki. Kiedy panie dochodziły do góry, na zachodniej stronie ul. Kopernika ukazał się patrol niemiecki. Na ulicy było dość pusto. Jeden z trzech żołnierzy spojrzął na idącą kobietę. Po chwili spojrzął znowu. "Urszula" powiedziała o tym pani Zofii, ale ta ją zbyła twierdząc, że tylko jej się tak wydawało. A żołnierz spojrzął na nie po raz trzeci. Ponieważ patrolujący Niemcy skierowali się w stronę ul. Ordynackiej, uspokojone panie szły dalej. Postąły chwilę przy sklepie, a potem poszły też ul. Ordynacką. Na nieszczęście Niemcy zawrócili i doszli do nich na rogu Ordynackiej i Kopernika. Po zrewidowaniu zabrano je na komisariat na Krakowskim Przedmieściu tuż przy kościele Św. Krzyża. Podczas drogi jeden z Niemców w odpowiedzi na propozycję pani Zofii, by je puścić, łamaną polszczyzną stwierdził, że on nie jest wśród nich najważniejszy, i że przecież patrzył na nie chcąc dać im znak, by poszły inną drogą, aż wreszcie dowódca patrolu się nimi zainteresował i zaproponował, by wrócić i zrewidować bagaże.

Na posterunku pani Zofia uraczyła Niemców bajką, że obie szmuglowały towar, który został im zabrany po przyjeździe do Warszawy. Próbowała pocieszyć zrozpaczoną "Urszulę", kiedy podszedł do nich nieznajomy. Mężczyzna ten usłyszawszy, co się stało, zaproponował, że da im zarobić 500 zł, jeżeli zawiozą paczki na Plac Na Rozdrożu. Tam miał niby czekać drugi mężczyzna i od niego miały otrzymać także 500 zł. Jako dowód, że mówi prawdę, pokazała Niemcom swoje 500 zł, które miała w portmonetce.

Indagowana w tej sprawie "Urszula" potwierdziła tę wersję wydarzeń (były przesłuchiwane razem), mimo że wydawała się jej bardzo naiwna. Panie pozostały na posterunku jeszcze dwie godziny. Być może Niemcy uwierzyli w tę historię i usiłowali zatrzymać oczekującego na Pl. Na Rozdrożu mężczyznę. Potem, około osiemnastej, w towarzystwie żołnierza niemieckiego opuścili komisariat. "Wrabiające" je paczki z bibułą, zostały na komisariacie, a im pozostawiono tylko torebki. Tramwajem "O" przewieziono je do siedziby gestapo w

Al. Szucha. Próbując podnieść na duchu "Urszulę" pani Zofia zażartowała, że po raz pierwszy korzystają ze środka lokomocji przeznaczonego tylko dla Niemców. Jej samej udało się wyrzucić podczas jazdy tramwajem listy od męża pisane z obozu jenieckiego w Murnau. Ponieważ adresatka listów była poszukiwana przez Niemców, cała jej korespondencja przychodziła na adres brata jej męża, Alfreda Szatkowskiego.

Kiedy wysiadły z tramwaju, pani Zofia szepnęła, że nie pamięta, jaką datę i miejsce urodzenia ma w kenkarcie. I rzeczywiście, przy sprawdzaniu danych podała pierwszą z brzegu datę. W odpowiedzi Niemiec wykrzyknął, że ma fałszywe dokumenty i z całej siły uderzył ją w głowę. W efekcie pani Zofia do końca życia nie słyszała dobrze na prawe ucho. Potem w grypsie przesłanym do Lasockich doniosła jeszcze: *zęby moje, zawsze liche - spotkał najbardziej honorowy koniec.*

Noc obie spędziły na Szucha. Następnego dnia dołączono je do grupy więźniarek przewiezionych z Pawiaka na przesłuchanie. Wzywane były oddzielnie. Obie upierały się przy wcześniej podanej historii twierdząc, że nie wiedziały, co jest w paczkach. Tym razem obyło się bez bicia. Pani Zofia miała w torebce gruby zeszyt z notatkami, między innymi z rękopisem artykułu do "Prawdy". Na szczęście, pisarka miała bardzo niewyraźne pismo. W odpowiedzi na pytanie, stwierdziła, że zeszyt zawiera jej notatki z co ciekawszych kazań w kościele.

Już wcześniej te hieroglify uratowały jej życie. Relację tę zawdzięczamy Janinie Lasockiej, która w latach sześćdziesiątych spisywała wspomnienia snute w Górkach.

Było to podczas pobytu w leśniczówce Bispingów w Zagórkach na Lubelszczyźnie, gdzie przez jakiś czas przebywał jej syn, Witold Szatkowski. Pani Zofia pisała broszurę dla FOP. W pewnym momencie zostawiła swoje notatki i wyszła z pokoju. W międzyczasie do saloniku wszedł właściciel z Niemcem, który przyjechał skontrolować tartak. Niemiec zainteresował się otwartym zeszytem. Bispingowi zrobiło się gorąco. - To już po nas - pomyślał.

A Niemiec przekartkowany zeszyt odłożył go na biurko, dochodząc do wniosku, że ten tekst musiał pisać chyba jakiś wariat. Nikt normalny tak nie pisze. Bisping odetchnął z ulgą i stwierdził, że rzeczywiście pisała to kuzynka żony, starsza pani, lekko pomyłona i zakreślił kółko na czole. Tym razem się udało.

Ale wróćmy na Szucha. Po przesłuchaniu zostały przewiezione wraz z innymi więźniarkami na Pawiak. Tutaj przebywała jej kuzynka Wanda Wilczańska, aresztowana (jak już wspominałam) w mieszkaniu Szatkowskich na Idżkowskiego.

Niemcy nie rozszyfrowali, że więźniarka aresztowana jako Zofia Śliwińska to poszukiwana przez nich Zofia Kossak-Szczucka-Szatkowska. Na Pawiaku pani Zofia i "Urszula" były jeszcze raz przesłuchiwane, ale dzielnie nie przyznały się do niczego.

5 października 1943 roku o piątej rano w transporcie 250 kobiet zostały przewiezione do Oświęcimia - Brzezinki. Na miejscu znalazły się grubo po północy. *Nad polem leżała mleczna, nieprzenikniona mgła. [...] Silny oddział gestapowców uzbrojonych w rozpylacze i karabiny maszynowe otoczył transport i pognął go drogą. Niezupełnie jeszcze przytomne, kobiety szły śpiesznie, potykając się i rozglądając wokoło. Krajobraz wydawał im się dziwny, niby księżycowy. Nigdzie ani drzewa, ani krzaka, ciemne linie baraków. Mgła, świetlne stożki. Płaskie, niskie dachy błyszczały wilgocią. Górował nad nimi wąski budynek, zwień-*

czony kształtem, który we mgle wydawał się idącym podobnym do krzyża. Osądziły, że budynek jest kaplicą i nabrały otuchy. [To nie była, niestety, kaplica] [...].

Po przeciwnej stronie czerniał komin czy też wieża. Nad szczytem jej unosił się czerwony odblask, niby luna nad wielkim piecem hutniczym. Kobiety nie wiedziały jeszcze, że to krematorium, lecz uczyniło im się czegoś straszno. Noc spędziły w pustej szopie zwanej przejściówką.

Następnego dnia po przybyciu do obozu każda z więźniarek otrzymała swój numer, wykluwany na lewej ręce poniżej łokcia. Panią Zofię oznaczono numerem 64491. Od tej pory, tak jak inne więźniarki, nie miała imienia i nazwiska (fałszywego zresztą), a tylko numer.

Kolejny etap to łaźnia zwana sauną. Tu kazano im zdjąć ubrania, ogolono je i znalazły się we właściwej łaźni. Około siedemnastej opuściły saunę i kazano im ubrać podane łachy (pasiaki otrzymały później; były na kwarantannie) i dopiero teraz otrzymały pierwszy posiłek po opuszczeniu Pawiaka (bryję z brukwi i czerwonej kapusty). Po apelu wieczornym więźniarki zostały umieszczone w bloku 31a, gdzie stały trzypiętrowe prycze. Rozmieszczono po dwie kobiety na każdej pryczy.

Rozmowy z Niemcami zrobiły swoje. Już po wojnie w liście do Zofii Dragatowej podała informację, że przebywała w Brzezince razem z jej córką Hanią Dragat, którą знаła przed wojną. Pobyt w obozie tak je zmienił, że obie panie nie poznały się. A może po prostu pani Zofia znała tylko jej nazwisko panieńskie. Nie wiedziała, że panna Dragatówna stała się panią Racięcką.

Proszę pozwolić, że przytoczę relację "Urszuli":

W Oświęcimiu poczuliśmy się jeszcze bardziej wśród swoich, niż na Pawiaku. Wieść rozniosła się szybko i kto tylko i z czym mógł przybiegał, żeby Jej życie ułatwić - każdy drobiazg osobisty był bezcenny. Życzliwość była bezgraniczna. Kontakt łatwiejszy między współwięźniarkami, a otwarta przestrzeń podnosiła na duchu. Oczywiście trzeba było doświadczyć samemu głodu, zimna, braków w ubraniu i wszystkich innych okropności obozu, ale odporność psychiczna była na medal. Ciotka była najdzielniejszą z dzielnych, mężnie znosiła wszystkie trudności i niewygodę, nie tracąc ze swego człowieczeństwa, ale jeszcze bardziej je rozwijając. Promieniowała uśmiechem, pogodą i życzliwością dla wszystkich, bardziej czy mniej znanych i zupełnie nieznanymi, często z tzw. marginesu społecznego.

Relacja Pani Zofii z pobytu w obozie ukazała się w 1946 roku pt. *Z otchłani. Wspomnienia z lagru*. Pisarka z dużą niechęcią przystępowała do spisania wspomnień. Jednak wychodziła z założenia, że jest to jej obowiązek. *Bóg po to pozwolił niektórym ludziom oglądać piekło za życia i wrócić, by dali ś w i a d e c t w o p r a w d z i e [...] Więzień m u s i napisać, czytelnik m u s i przeczytać. Domaga się tego nie tylko wspomniane powyżej świadectwo prawdziwe. Nie tylko pamięć setek tysięcy rodaków i rodaczek zakatowanych, zadreęczonych, przed śmiercią najokrutniej sponiewieranych. Nie tylko wielomilionowe rzesze ludzi, pochłonięte przez ognistego molocha-krematorium.*

Ponieważ niedługo po przybyciu transportu była niedziela pisania listów, pani Zofia i "Urszula" skorzystały z okazji i wkrótce obie otrzymały paczki z domu. Zawartością dzieliły się z innymi więźniarkami.

Pani Zofia przez cały czas starała się podnosić na duchu inne kobiety. Podczas kwarantanny, kiedy więźniarki nie pracowały, a przebywały na "wizie" (czyli łące, a faktycznie była to udeptana ziemia), utworzono nawet "klub pod śmietnikiem". Kobiety wygłaszały referaty na różne tematy, np. Łucja Charewiczowa opowiadała o przeszłości ukochanego Lwowa, profesor psychologii Joanna Kunicka na temat, czy bez wiary można być szczęśliwym (był też koreferat na ten temat), kolejna prelegentka opowiadała o swoich wrażeniach z pobytu w Anglii, inna deklamowała coś z klasyków. Pani Zofia opowiadała o Beskidzie, który przy dobrej pogodzie był widoczny, a schodziła góry kilka razy. *(Beskid!... Ukochane góry cieszyńskie, wiślańskie!... Przynajmniej połowa transportu знаła je z zimowych wycieczek: dla niektórych były bliskie jak rodzony dom. Równica, Czantoria, Barania, Stożek, Klimczok, Skrzyczne... Można było bez trudu rozpoznać te szczyty, tak bliskie, jakże niedosięgłe i dalekie!... Wolne, słoneczne góry!... Czy spodziewałaś się, gibka narciarko, spoglądając nigdyś z tych szczytów w wiecznie omgloną dolinę oświęcimską, w "żabi kraj", że znajdziesz się tu jako więzień?... Czy poznałabyś sama siebie w tym dziwnym stworze ogolonym, cudacko ubranym, po twarzy bitym?... Nie poznałabyś, nie!).*

Zofia Kossak podjęła się pełnić obowiązki nactwaczy, czyli stróżki nocnej. *Do obowiązków nactwaczy należało pilnowanie porządku wewnątrz bloku i na zewnątrz oraz wynoszenie kubła z "szajką". Od pewnego czasu bowiem władze wprowadziły dobroczynną dla häftlingów innowację: nocą zamiast biec jak pierwiej do oddalonego o kilkaset metrów ustępu, mogły korzystać z kubła. [...] Przed apelem trzeba będzie oblecieć blok w koło i wszystko razem dokładnie posprzątać. Pieskie zajęcie, rzeczywiście, zwłaszcza, że ręce strasznie marną i łopatę trudno utrzymać - ale cóż robić?*

Gdzieś dwa miesiące po przybyciu transportu pawiackiego w obozie wybuchła epidemia tyfusu plamistego. "Urszula" zachorowała jako jedna z pierwszych. W okresie Bożonarodzeniowym odwiedziła ją "Ciotka" i z głęboką wiarą zapewniała chorą, że wojna skończy się wkrótce i powróci do domu. Taka porcja optymizmu była potrzebna każdemu. Janina Kolendo zwana przez wszystkich "Grzybkiem" (późniejsza szefowa Instytutu Wydawniczego "Pax") najbardziej zapamiętała jej skradanie się po blokach w wigilię Bożego Narodzenia i dzielenie się opłatkiem. Dzieliła się zresztą kawałkiem chleba czy ostatnią łyżką zupy. Jak wspomina po latach "Urszula", "Ciotka" otrzymała szczepionkę Weigla, ale dopadł ją pod koniec grudnia 1943 roku tyfus brzuszny. Była w bardzo ciężkim stanie. Lekarki nie dawały szans na przeżycie.

Pewnego wieczora - wspomina "Urszula" - podeszła do koi, na której leżałam (byłam ciągle na rewirze), lekarka i mówi: "Urszulko, przynieśli na ten blok Ciotkę, jest ciężko chora, nie wiemy, czy przeżyje tę noc, jeżeli masz siłę wstać, podejdź do końca bloku, gdzie Ją położyliśmy, żeby Ją jeszcze zobaczyć. Zobaczyłam nieruchome ciało i twarz spuchniętą, podobną raczej do maski niż ludzką. W miejscu, gdzie powinny być oczy - wąskie wgłębienia - szpareczki, żadnego drgnięcia nawet, już jakby nieobecna. Ale jednak przeżyła tę noc i od tego czasu zaczął się powoli powrót do sił i życia. Lekarki robiły wszystko, co było możliwe i osiągalne, taska Boża wróciła Jej życie.

W konspiracyjnej "Informacji Bieżącej" z 1 marca 1944 roku znalazłam taką informację: *We wszystkich obozach Oświęcimia epidemia duru plamistego. Mikolajczykowa (żona*

premiera) i Kossak-Szczucka także przeszły tyfus i obecnie czują się dobrze. Spośród 300 niemal kobiet z ostatniego transportu październikowego z Pawiaka żyją obecnie 53 kobiety - reszta umarła na dur plamisty; z żyjących 53 - 2 tylko nie przechorowały tyfusu. Wydaje mi się, że jeszcze w marcu osoba pisarki nie była rozszyfrowana przez Niemców.

I pani Zofia i "Urszula" jeszcze przez dwa miesiące wracały do zdrowia, leżąc na sąsiednich kojach. Na deskach górnej koi "Ciotka" wypisała ołówkiem: *Każdej chwili mego życia wierzę, ufam, miłuję*. Nieustannie też się modliła.

Pierwszego kwietnia 1944 roku podeszła do jej łóżka blokowa Jugosłowianka i powiedziała, że wychodzi na wolność. Na zdziwiony wzrok "Ciotki" odpowiedziała, że to nie prima aprilis i rzeczywiście wychodzi na wolność. Ponieważ do tej pory pani Zofia cały czas leżała i nie wstawiała z łóżka, współwięźniarki pomogły jej podnieść się z łóżka. "Urszula" zapamiętała, jak *ledwo ciągnie nogi za sobą, w dwa razy za dużych, podsuniętych jej butach, koc zarzucony na ramiona i plecy, i znika za drzwiami baraku, wyprowadzona przez lekarki na tzw. wolność. Przez miesiąc odżywiano ją intensywnie i leczono, przebywała w baraku przeznaczonym dla tych, którzy wychodzą z obozu, a mieszczącym się tuż za drutami naszego obozu. Codziennie chodziła do Niej świetlanej pamięci dr Katarzyna Łaniewska, cudowny dzielny człowiek, która wielu więźniarkom (m.in. i mnie) uratowała życie. Przez ten miesiąc miałyśmy z nią kontakt.*

Jakie były dalsze losy Zofii Kossak po opuszczeniu Brzezinki? Jedną noc spędziła w więzieniu Montelupich w Krakowie, a potem przewieziono ją do więzienia na Daniłowiczowskiej w Warszawie. Niemcy w międzyczasie dowiedzieli się jej prawdziwego nazwiska. I dopiero w Warszawie przeszła brutalne śledztwo: nie oszczędzono jej niczego. Nigdy nikomu nie chciała nawet opowiadać o tych chwilach. Według niektórych relacji wytoczono jej wówczas proces i otrzymała karę śmierci.

Na Daniłowiczowskiej widzenie z nią uzyskał syn Witold i Anulka Lasocka. Obydwoje byli przerażeni jej wyglądem. Pani Anulka (w liście pisanym 2 maja 1968 roku do Zygmunta Szatkowskiego, wkrótce po śmierci pani Zofii) tak wspomina jej wygląd: *Zobaczyłam z przerażeniem jej małą, wychudzoną, wyniszczoną twarzyczkę, w której tylko oczy, niezwykle wtedy wielkie, miały ten sam blask, była w nich głębia i niebo, szczęście i cierpienie.*

Odwiedzający otrzymali zimowy płaszcz cały podszyty grypsami. Później w domu córka Anulki, Teresa Lasocka i Anna Szatkowska pieczołowicie wypruwały je po kolei, potem przepisywały, a wiadomości doręczano adresatom. Cały zbiór grypsów był przechowywany pod podłogą w mieszkaniu Lasockich na Brackiej. Niestety, podczas powstania budynek spłonął, a z nim i cenne archiwum.

20 kwietnia znalazła się z powrotem na Pawiaku. I znowu nie wiem, jak to się stało, ale została zapisana jako Zofia Śliwińska. Kiedy zapytano ją o nazwisko, poczuła pustkę w głowie. Zawsze miała kennkartę wystawioną na nazwisko zaczynające się od litery S. Gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć swoje aktualne nazwisko. Leon Wanat, aresztowany w końcu 1940 roku i osadzony na Pawiaku, który pełnił funkcję pisarza kancelarii więziennej, tak wspomina o tym wydarzeniu w książce *Za murami Pawiaka*.

Raz Ania [Sipowiczowa] mówi do mnie:

- Leonku, Wandzia Wilczańska dziękuje ci za ciocię.

- Nie rozumiem - odpowiadam.

- Otóż wyobraź sobie, Kossak, która przybyła z transportem z Oświęcimia pod nazwiskiem Śliwińska, zapomniała swoich fałszywie podanych personaliów, a tyś jej przyszedł z pomocą!

- Ach tak! - Przypomniałem sobie, jak to Śliwińska była w widocznym kłopotcie, przeczując wyspę - ułatwiłem jej "przypomnienie" podanych za pierwszą bytnością na Pawiaku personaliów. Wyciągając starą książkę główną, odczytałem głośno dane osobowe podane wcześniej i wpisałem je do nowej książki po raz drugi. Nie wiedziałem wówczas, że tę przysługę robię Zofii Kossak.

- Wiesz, pani Kossak, wspominając cię, spytała: "Cóż to za porządny człowiek ten cywil w kancelarii, który wybawił mnie z kłopotu?" - To nasz Leonek - odpowiedziałyśmy - najstarszy więzień, Polak i przyjaciel.

- "To opatrnościowy człowiek" - odrzekła na to pani Kossak.

Leon Wanat przebywał na Pawiaku do 17 lipca 1944 roku, kiedy to podjął próbę ucieczki zakończoną sukcesem.

Zachowała się także relacja dr Anny Czuperskiej-Śliwickiej w jej wspomnieniach, zatytułowanych *Cztery lata ostrego dyżuru*, o powtórnym pobycie pisarki na Pawiaku.

Wiosną 1944 roku, gdy ponownie przewieziono na Serbię panią Zofię Kossak-Szczucką, słuchałyśmy często w szpitalu jej mówionych powieści. Natchniona, z przymkniętymi oczyma opisywała nam piekło oświęcimskie, gdzie rządziły *bestie-übermensch*. Wchłaniałyśmy każde zdanie, każde słowo znakomitej pisarki, każdą jej filozoficzną uwagę.

[...] Wróciła teraz w stanie dużego wycieńczenia, z awitaminozą i czyrakami na całym ciele. Bezpośrednio z kąpielowego zabrałam panią Kossak-Szczucką do szpitala i tu z każdym dniem przybierała coraz bardziej ludzki wygląd. Intensywne leczenie ogólnie wzmacniające, produkty żywnościowe z paczek, które otrzymywała, bogate w witaminy i wszelkie składniki potrzebne do odbudowy komórek, zlikwidowały wreszcie obrzęki, awitaminozę i czyraczność. Główną i najtroskliwszą "karmicielką" Cioci Zosi, jak nazywałyśmy panią Kossak-Szczucką, była spokrewniona z nią Wanda Wilczańska. Widmo codziennych egzekucji zagrażało również Cioci Zosi. Kamień spadł nam z serca, gdy wreszcie 29 VII 1944 r. została wywołana na wolność.

Ale zanim opuściła Pawiak, upłynęło trochę czasu. Współwięźniarki zapamiętały jej barwne opowieści. Janina Dunin-Wąsowicz leżała razem z nią w szpitalu. W dzień jej imienin, 24 czerwca, pani Zofia opowiedziała jako prezent imieninowy żywot świętej Katarzyny Sienieńskiej. Była to bardzo szczegółowa opowieść. W dniu imienin syna Krzysztofa pani Janina poprosiła o opowiedzenie żywota św. Krzysztofa.

Poza tym pani Zofia otrzymywała różnymi drogami wiadomości o wydarzeniach poza murami, dostarczano jej nawet prasę konspiracyjną i bardzo często wieczorami współwięźniarki wysłuchiwały jej komunikatów, opowiadań czy modlitw przez nią ułożonych.

Rodzina i przyjaciele czynili starania o jej wykupienie czy odbicie. W tym samym czasie na Pawiaku był uwięziony Alfred Szatkowski, brat jej męża. Pani Zofia obawiała się re-

presji w stosunku do niego po jej ewentualnej ucieczce. Opuściła Pawiak dzięki zabiegom Delegatury Rządu 28 lub 29 lipca 1944 roku tuż przed wybuchem powstania.

Prosto z Pawiaka udała się na Radną, gdzie nadal mieszkała jej matka Anna Kossakowa. Pani Zofia w grypsach przekazywanych z Pawiaka prosiła, aby nie mówić matce o jej aresztowaniu i pobycie w więzieniu i obozie. Wy tłumaczono staruszce, że córka musiała wyjechać poza Warszawę. Wątpię, by pani Anna dała wiarę tej wersji. W każdym bądź razie teraz były znowu razem.

"Urszula" pozostała w Brzezince. W niedługim czasie dostała gryps od pani Zofii, żeby robiła wszystko, aby nie wyjść na wolność i żeby pozostać w obozie. Przypuszczam, że wiadomość przesłał Witold Szatkowski po widzeniu się z matką na Daniłowiczowskiej. Okres spędzony na Daniłowiczowskiej musiał być dla pani Zofii jeszcze gorszy od okresu obozowego.

W paczkach, które "Urszula" otrzymywała od rodziny Zofii Kossak, zawsze coś udało się przemyścić w rogach, bowiem Niemcy nie rozrywali opakowań. Tą drogą otrzymała m.in. fotografię brata. Wiele więźniarek wiedziało o tym fakcie i jak tylko nadeszła paczka na jej nazwisko od razu pytały, czy nie ma jakiejś gazetki konspiracyjnej lub wiadomości. I kiedyś przerażona "Urszula" odpisała, żeby nie przysyłało ciasteczek owsianych (tak konspiracyjnie nazywały bibułę), bo jej szkodzą. Po prostu paczka, którą otrzymała, miała trzy nadtarte rogi (czwarty, w którym umieszczono materiały nie dla wiadomości Niemców, był cały).

POWSTANIE

Po wyjściu z Pawiaka pisarka udała się na ulicę Radną, gdzie przebywała jej matka, która nie widziała córki od momentu aresztowania we wrześniu 1943 roku. Przypuszczam, że panie ze schroniska dbały o staruszkę. Dobrze, że towarzyszyła jej Fopcia, wyprowadzana codziennie na spacer przez panie z kuchni. Anna Kossakowa nie czuła się najlepiej i od dawna nie opuszczała pokoiku.

Jej córka, mimo że ogromnie wycieńczona pobylem zarówno na Pawiaku, jak i w Brzezince (zwłaszcza przebyty tam tyfusem) od momentu wybuchu powstania włącza się znowu aktywnie do wydawania "Prawdy". I udaje jej się to. W sierpniu 1944 roku ukazują się "Prawda. Pismo polskich katolików świeckich", zapełniona w większości artykułami przez nią napisanymi.

W artykule *Od redakcji* czytamy: *Niniejszy [zeszyt] ukazuje się w osowobodzonej, wspaniałej Warszawie, walczącej jawnie, wolnej od niemieckiego okupanta.[...]*

Jesteśmy tym szczęśliwym i wyróżnionym pokoleniem, któremu zostało dane tworzyć historię i trzymać dłonie na kole sterowniczym świata, nadając mu kierunek na wiele lat, (może wieków?) wprzód. Wierzmy, że jeśli ster ten pochwycą dłonie katolickie, świat dźwignie się z otchłani, w którą zepchnęły go ludzkie namiętności i ludzka ślepota. To przeświadczenie przymusza nas do działania. Lecz nam, katolikom, nie wolno działać ani siłą inną, niż moralną, ani walką, gwałtem lub przemocą. Wpływ na losy naszego kraju i całego świata możemy zdobywać tylko przez własny nasz ciężar gatunkowy, przez uzyskane zaufanie i szacunek nie-katolików.

W kolejnym artykule *Zadania na jutro* pani Zofia widziała nieuchronną klęskę Niemiec: *Trudno przewidzieć - pisała - jakimi drogami poprowadzi nas jeszcze Opatrzność ku wolności.[...] Trudno też jeszcze obecnie przewidzieć, co stanie się po wojnie z naszymi wrogami. Czy państwo niemieckie będzie okupowane przez naszych aliantów, czy też rozdrobnione na szereg odrębnych prowincji. My Polacy, mający ich za sąsiadów od lat tysiąca, nie łudzimy się, by którykolwiek z narzuconych ustrojów zmienił duszę niemiecką, ziejącą nienawiścią. Wiemy również, że nie bacząc na zawierane sojusze, Rosja będzie nie tylko żywić niezmiennie zamiary agresywne w stosunku do nas, lecz będzie się zawsze starała zatruwać dusze jadem swej propagandy. Ani zbrojenia, ani też zaplecza najzamożniejszych sojuszników nie zdołają zmienić tego stanu rzeczy. Przymusem zewnętrznym nikt nie zdoła przeinaczyć duszy ludzkiej. Można to jedynie uczynić za pomocą Bożą podchodząc do wnętrza człowieka.*

W sierpniowym numerze "Prawdy" zamieszczono także przemówienie kardynała Dezyderego Merciera, arcybiskupa Malines, prymasa Belgii i jej obrońcy w czasie I wojny światowej, pod jakże znamienitym tytułem *O miłości nieprzyjaciół* pochodzące z 1917 roku.

Pióra pani Zofii był jeszcze artykuł: *Dzielność i męstwo - bojaźń i strach. Z cyklu: Dialogi o życiu i śmierci*. Sierpniowy numer "Prawdy" liczył 16 stron i został wydrukowany w Drukarni Technicznej przy ul. Czackiego 3/5 (Placówka nr 5 Wojskowych Zakładów Wydawniczych Armii Krajowej). Jak wspomina Aldona Kimontt, drugi numer "Prawdy" został przygotowany (prawdopodobnie we wrześniu) do druku, ale nie zdążono go już wydrukować.

Na początku Powstania Pani Zofia spotkała Aleksandra Kamińskiego redagującego także powstańczą edycję "Biuletynu Informacyjnego". Na jego łamach w numerze 59 (z 22 sierpnia) umieszczono jej artykuł *Najbardziej niebezpieczny* podpisany pseudonimem konspiracyjnym *Weronika*. Nawoływała w nim do okazania pomocy bezdomnym warszawiakom: *Dzielmy się z nimi wszystkim co posiadamy, szczęśliwi, że się jeszcze dzielić możemy!*

Odwiedziła także na zaproszenie Aleksandra Kamińskiego drukarnię powstańczą, w której był drukowany "Biuletyn Informacyjny". Wizytę zrelacjonował Michał Wojewódzki w książce *W tajnych drukarniach Warszawy 1939-1944. Wspomnienia*:

Podczas wizyty w naszej powstańczej drukarni Zofia Kossak była jeszcze wciąż pod wrażeniem pobytu w obozie koncentracyjnym.

Wszyscy chcieliśmy wiedzieć, jak jest naprawdę w tym Oświęcimiu. Na wstępie pisarka powiedziała twardo i zdecydowanie: "Nie mówmy o żadnym Oświęcimiu! Tam gdzie ja byłam, to nie jest Oświęcim. Protestuję! Oświęcim to poczciwe, miłe, małe miasteczko. Obóz koncentracyjny jest w Auschwitz! Nie wolno mówić: Oświęcim!"

Szybko, gorączkowo, z pasją - Zofia Kossak mówiła o piekle na ziemi. Zapamiętałem jedno rozumowanie pisarki. Hitlerowcy - twierdziła ona - dążą w obozie przede wszystkim do złamania w ludziach człowieczeństwa. Jak to osiągnąć? Jednym z najbardziej ludzkich uczuć jest wstyd. O tym hitlerowcy wiedzą doskonale. I dlatego na wstępie, zaraz po przyjeździe każdego nowego transportu, próbują zabić w więźniach wstyd. Każąc na przykład kobietom - i młodziutkim, i starym - defilować nago wśród szyderstw esesmanów. Na wspomnienie wszystkich przeżyć głos pisarki załamuje się i po szczuplej, zniszczonej twarzy płyną strumienie łez...

O swoim pobycie w obozie opowiadała także na uroczystym ognisku u harcerek na ul. Zgoda w dniu 27 sierpnia.

Pisywała także artykuły do redagowanej przez Stanisława Wąsowicza "Dubieckiego" "Barykady Powiśla". Do grona współpracowników tego pisma należał także zaprzyjaźniony Jerzy Braun. Redakcja mieściła się niedaleko Radnej, na ul. Tamka 48. W piśmie tym ukazały się jej artykuły z serii "Migawki": *Piwniczne rozmowy i List do przyjaciółki*.

Zofia Kossak jest także autorką apelu kobiet polskich do Ojca Św., wygłoszonego przez powstańcze Polskie Radio 21 sierpnia 1944 roku. Zbierała ona podpisy znanych działaczy i literatów. Jedną z sygnatariuszek apelu była Maria Rodziewiczówna. Oto jego treść.

Ojcie Świąty! My kobiety polskie walczymy w Warszawie, kierując się patriotyzmem, przywiązaniem do ziemi ojców naszych. Brak nam żywności i środków opatrunkowych. Twierdzy naszej bronimy już trzy tygodnie. Warszawa jest w gruzach. Niemcy mordują rannych, pędzą kobiety i dzieci przed swoimi czołgami. Nie są przesadzone wiadomości, że na ulicach Warszawy walczą dzieci niszcząc czołgi nieprzyjacielskie butelkami benzyny. My, matki patrzymy na naszych synów, którzy giną za wolność i za naszą ziemię. Nasi mężowie, synowie i bracia, walczący ze śmiertelnym wrogiem ludzkości, nie mają do dnia dzisiejszego pełnych praw kombatantów.

Ojcie Świąty - świat nie chce wiedzieć o naszej walce, jedynie Bóg jest z nami.

Ojcie Świąty! Namiestniku naszego Pana i Władcy, jeśli nas usłyszysz - udziel nam błogostawieństwa Bożego, nam, kobietom polskim walczącym o Kościół i Wolność.

Jak już wspominałam, pani Zofia podczas powstania mieszkała na Radnej. Jej 18-letni syn Witold brał m.in. udział w zdobyciu budynku "Pasty" czyli Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej przy ul. Zielnej, 20 sierpnia, natomiast 16-letnia Anna Szatkowska "Anka" służyła jako sanitariuszka w batalionie "Gustaw". Najpierw była w patrolu "Ewy Marii". Skierowano ją do organizowanego od 8 sierpnia szpitala w klasztorze Sióstr Sakramentek przy Rynku Nowego Miasta. 30 sierpnia zaczęły się przygotowania do ewakuacji szpitala. Zachowała się fotografia (wykonana przez Edwarda Świdorskiego), przedstawiająca kompanię harcerską "Gustaw" w Południowym Śródmieściu, na ul. Kruczej, wykonana 9 września. Jest na niej także i Anna.

Niemcy opanowali Powiśle we wtorek 6 września, w 37 dniu powstania: od 6.00 wznowili szturm na ostatnie pozycje powstańcze, a wieczorem całe Powiśle było już w ich rękach.

Nocą usłyszano komunikat czytany przez megafon niemiecki. Mimo, że umieszczony był na terenie Uniwersytetu Warszawskiego, słychać go było bardzo dobrze. Dobrą polszczyzną oznajmiono mieszkańcom Powiśla, że dzielnica została wyzwolona z rąk polskich bandytów i ludność może się schronić pod opiekę władz niemieckich. Wystarczy tylko wyjść z mieszkania z białą chusteczką w ręku i skierować się w stronę ulicy Karowej. A tam już się nim opiekują żołnierze niemieccy. Jeżeli ktoś nie posłucha tego apelu, będzie sam sobie winien. W komunikacie uprzedzano, że gdyby choć jeden Polak pozostał w tej dzielnicy, zostanie ona spalona, a domy będą wysadzane w powietrze. Komunikat został odczytany kilkakrotnie.

Jak pisze Władysław Bartoszewski, *zajmując poszczególne ulice Niemcy spędzają tłumy ludności w rejonie Browarnej i przeprowadzają je potem przez Ogród Saski na Wolę. Powstańcy z Powiśla wycofali się na ul. Chmielną i Warecką.*

Pani Zofia nie opuściła jednak Powiśla i pozostała na Radnej. Uważała, że stan jej matki nie pozwala na wędrowkę. W budynku pozostało jeszcze kilka staruszek w bardzo ciężkim stanie. Oprócz pisarki był z nimi także ksiądz Stanisław Dymek.

Niemcy systematycznie palili dom po domu, rabując je wcześniej. Pożar nie ominął także i tego budynku. Zarówno pisarka jak i ksiądz Dymek przez całe dnie i noce usiłowali ugasić pożar, doznając przy tym wielu obrażeń i oparzeń. Ogień sięgał już pierwszego piętra. W końcu udało się im ugasić pożar. Górne piąte piętro spłonęło (odbudowano je dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych). Budynek sprawiał wrażenie wymarłego. Niemcy nawet nie przypuszczali, że mógłby się ktoś w nim ukrywać.

Wszyscy schronili się w jednej z piwnic (inne były zalane wodą), gdzie na szczęście w piwnicach znaleziono trochę żywności. Gotowali w nocy, bo w dzień bali się odkrycia ich obecności. Tak przeżyli do końca września.

Odkrył ich przypadkowo patrol niemiecki. Jak wspomina córka: *Dowódca był zdumiony, że tyle osób w tych warunkach przeżyło, tak zdumiony, że nie przejmując się rozkazami powiedział: "Powiniem was rozstrzelać, ale skoro tyleście już przetrwali, to życie nadal!" Dał nawet paru żołnierzy, którzy pomogli przenieść owe staruszki do klasztoru Wizytek, skąd zostały skierowane do Szpitala Wolskiego.*

Tutaj w dniu 8 października 1944 roku Anna Kossakowa zmarła. Pochowano ją tymczasowo na dziedzińcu szpitala. Później, już po zakończeniu wojny, została pochowana na Powązkach. Spoczywa w kwaterze 128 A, 7 rząd, 9 grób.

PO POWSTANIU

Pani Zofia opuściła Warszawę wraz z grupą personelu Szpital Wolskiego. Ewakuację szpitala rozpoczęto 10 października. Likwidacja placówki miała miejsce 24 października, a reszta opuściła Warszawę w sobotę 28 października. Zofia Kossak znalazła się w Milanówku. Tutaj spotkała się z córką, która wyszła z Warszawy 6 października. Anna była przekonana, że jej matka opuściła stolicę wraz z urszulankami i w domu urszulanek w Milanówku jej szukała. W Milanówku znalazła się też Marychna Kossak (bratowa pani Zofii). Wszystkim trzem schronienia udzielili państwo Bałdowie. Po kilku dniach pisarka spotkała na ulicy gestapowca, który ją przesłuchiwał. Nie była pewna, czy ją poznał. Może tylko udał, że jej nie widzi. W każdym bądź razie, nie należało się narażać i trzeba było opuścić Milanówek.

Postanowiono wyjechać na południe do Częstochowy, ponieważ Kraków był przepełniony, chociaż i w Częstochowie pełno było warszawiaków. Ale pani Zofia знаła dobrze tułeszego biskupa Teodora Kubinę i księdza Antoniego Marchewkę, z którymi była razem na pielgrzymce do Ziemi Świętej w 1933 roku.

Początkowo mieszkały u Filomeny i Edwarda Usakiewiczów na ul. Garibaldię, którzy 90% swojego mieszkania oddali na potrzeby uchodźców z Warszawy.

Na początku listopada wybrały się obie do Krakowa. Zofia Kossak usiłowała nawiązać przerwane kontakty z podziemiem. Skoro się dowiedziała, że w Wieliczce przebywa jej znajomy lekarz Stanisław Kunicki, udała się tam i poprosiła go o usunięcie z przedramienia numeru obozowego. Wolą nie ryzykować rozszyfrowania w przypadku jakiegokolwiek kontaktu z Niemcami. Kolejne papiery miała znów na nazwisko zaczynające się na literę S: Sikorska.

Po powrocie do Częstochowy wylądowały na probostwie św. Barbary, gdzie ks. Marchewka był wikarym. Tutaj słuchała radia i na podstawie wiadomości przekazywała krótkie komunikaty znajomym. Na pewno wiadomości tam podawane (o kolejnych klęskach wojsk niemieckich) pokrzepiły niejedno serce.

Właśnie w Częstochowie powstała relacja z Brzezinki. Jak już pisałam wcześniej, pisarka musiała pokonać wiele oporów wewnętrznych, by wrócić pamięcią do tego okresu w jej życiu i przeżyć jeszcze raz koszmar obozowego życia. Jednak wychodziła z założenia, że Bóg po to pozwolił jej przeżyć, aby dała świadectwo prawdzie. Uważała, że jest to *obowiązek, od którego nikomu uchylać się nie wolno*.

Stara się pisać relację obozową w sposób bardzo wyważony. We wstępie zaznacza: *Czytelnik niech się nie obawia, że znajdzie tu przesadę lub propagandę. Przeciwnie, autorka niniejszych wspomnień, mimo chęci dokładnego przedstawienia rzeczywistości, zachowuje styl obiektywny, bezosobowy, a o niektóre szczegóły, wyjątkowo drastyczne, zaledwie potrąca. Ktokolwiek bowiem widział duszę hitlerowską w całej nagości, nie znajdzie w ludzkiej mowie słów na jej opisanie. Nie zdoła odtworzyć wiernie tego, co widział, więc jakże mógł naddawać!... Przesadzić mogą tylko tacy, którzy nie widzieli, sami nie doznali*.

Relacjonując pobyt w Brzezince stara się uwypuklać wszelkie przejawy człowieczeństwa w tym pozbawionym ludzkich odruchów świecie übermenschów. Jakże wymowna jest scena, kiedy więźniowie widząc pędzone drogą nagie kobiety odwracają się jak jeden mąż, aby pozwolić im zachować chociaż cząstkowe poczucie godności.

Córkę pod koniec listopada 1944 roku wysłała z Częstochowy do Sióstr Niepokalanek do Szymanowa (Anna przebywała tam od 1943 roku do Powstania Warszawskiego). Brakowało jej ostatniego roku, aby mogła zdać maturę. Ponieważ były to jeszcze czasy nieunormowane, Anna powróciła z maturą już w końcu marca 1945 roku. Przez ten czas pisarka pozostawała pod opieką koleżanki Anny Geni Godlewskiej.

Pani Zofia oprócz pisania książki *Z otchłani* i licznych spotkań z ludźmi z konspiracji zajęła się także wydawaniem tygodnika katolickiego. W lutym 1945 roku przedyskutowała sprawę z biskupem Kubiną, któremu ten pomysł się spodobał i zaproponował, by zabrała się do organizacji redakcji wspólnie z księdzem Marchewką. Dość szybko dołączyła do nich Zofia Dragatowa, która przypuszczalnie wcześniej współpracowała z panią Zofią przy wydawaniu "Prawdy" w Warszawie. Jak pisze ksiądz Marchewka w niepublikowanych wspomnieniach: *Mając więc trochę doświadczenia dziennikarskiego, chętnie podjąłem myśl p. Zofii Kossak redagowania i wydawania wspólnymi siłami tygodnika katolickiego. Z pomocą Bożą i z dużym zapalem, ale bez grosza w kieszeni rozpoczęliśmy redagowanie i wydawanie tygodnika katolickiego "Niedziela". Przystąpienie do tak poważnego dzieła, jak wydawanie gazety bez pieniędzy i po prostu na kredyt, było naprawdę ryzykowne. Ale naprawdę tak by-*

to. A jednak to wszystko udało się dzięki przede wszystkim Opatrzności Bożej i dzięki dobrym ludziom, którzy nam pomogli.

Dzięki panu Stanisławowi Leszczykowi, który był wówczas dyrektorem drukarni Wilkoszewskiego (już pod zarządem państwowym), ukazały się pierwsze trzy numery "Niedzieli". Po prostu drukarnia wypuściła je na kredyt. A potem to się już rozkręciło samo. Pierwsze numery wydrukowano w nakładzie 7 000 egzemplarzy, potem nakład wzrósł do 10 000, a po roku wynosił 100 000 egzemplarzy. Na łamach "Niedzieli" ukazywała się w odcinkach relacja z Brzezinki, początkowo bez podania nazwiska autorki. Wspomnienia obozowe pisała do kwietnia 1945 roku. Gotowy tekst został złożony w wydawnictwie księgarni Wł. Nagłowskiego w Częstochowie. Książka została wydrukowana w Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu i pojawiła się na półkach księgarskich w 1946 roku pt. *Z otchłani. Wspomnienia z lagru*, a w roku następnym ukazało się drugie wydanie.

Podobała mi się opinia Marii Dąbrowskiej o tej książce zapisana w jej *Dziennikach* pod datą 20 listopada 1946 roku: *Po przeczytaniu Iwaszkiewicza jest się zawsze gorszym i skłonym raczej do rozkładu psychicznego. Dziś zwłaszcza potrzebuje się po prostu i banalnie mówiąc pociechy, która jest np. w książce Zofii Kossak "Z otchłani". Po przeczytaniu tej książki, tak w realiach strasznej, czuję, że nawet koszmar obozów hitlerowskich może nie zachwiać pionem wewnętrznym człowieka.*

Warto też odnotować opinię Seweryny Szmaglewskiej zamieszczonej w książce *Dymy na Birkenau: W tej zamieci, w tej bezmyślnej i ślepej sile bijącej w gromady ludzkie i niszczącej tysiące, ocalała Zofia Kossak-Szczucka. Huragan śmierci przeszedł ponad nią - i uciął. Trudno odgadnąć, czemu zawdzięczać należy ten dobroczynny kaprys losu - czy grała tu rolę w różnych jednostkach z różną potęgą występująca chęć życia, czy inne jakieś moce. Kobiety myślą dużo o tym, mimo że mówią mało. Przyjazd pani Zofii do obozu, gdy spojrzeć nań z pewnej perspektywy, pobyt i powrót to wydarzenie - wyglądające jakby było inspirowane przez wielkiego reżysera życia, który rozdaje nam role, podsuwa rekwiizyty i stwarza dekoracje. Widocznie trzeba było, żeby właśnie autorka "Krzyżowców" przeszła przez Birkenau - od początku do końca swego incognito - po to, żeby spojrzeć i zapamiętać.*

Ale nie wszystkie opinie o wspomnieniach obozowych były takie przychylne. W numerze 1 z 1947 roku czasopisma "Pokolenie" ukazała się recenzja Tadeusza Borowskiego pod tytułem *Alicja w krainie czarów*. Autor, sam więzień obozu koncentracyjnego Auschwitz, napisał kilka opowiadań poświęconych tematyce obozowej w zbiorach *Pożegnanie z Marią* i *Kamienny świat*, uważa relację Zofii Kossak za *książkę złą i fałszywą, a przede wszystkim - beznadziejnie słabą literacko. Po prostu pamiętnik Alicji z krainy czarów*. No cóż, wolno mu mieć takie zdanie. Ale to tylko jego opinia. Wspomnę także, że recenzenta bardzo denerwuje katolicyzm pisarki.

W odpowiedzi na tę recenzję w czasopiśmie "Dziś i Jutro" ukazał się *List otwarty do Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich*:

W związku z bezwstydną i obraźliwą - przekraczającą ocenę literackiej wartości książki "Z otchłani" - napaścią Tadeusza Borowskiego na wielką Artystkę i wielką Działaczkę społeczną Zofię Kossak w Nr 1(7) "Pokolenia", zwracamy się do Zarządu Głównego Związku Zawodowego Literatów Polskich z zapytaniem, jakie kroki podejmie Zarząd, aby odeprzeć

napaść na nieobecną chwilowo w kraju Autorkę "Krzyżowców" oraz jakie przedsięwzięcie kroki, aby zapobiec na przyszłość występom domorosłym publicystom przeciw niemogącym się chwilowo bronić Pisarzom. Zespół "Dziś i Jutro".

Pisarki nie było już w kraju. Jak doszło do jej wyjazdu?

Przyczyny opuszczenia kraju wyjaśnia córka pisarki Anny Bugnon-Rosset. Jej relacja Z *"białych plam"* w *życiorysie Zofii Kossak. (Wspomnienia córki)* ukazała się w opracowaniu jej syna Franciszka Rosset w *"Tygodniku Powszechnym"* (1988 nr 14-15).

Jak wiemy, Zofia Kossak przebywała w Częstochowie jako Zofia Sikorska. I dlatego, kiedy w czerwcu 1945 roku otrzymała z Warszawy list zaadresowany na jej prawdziwe nazwisko, była zdruzgotana, że jej osoba jest rozszyfrowana. Nadawcą listu był Jakub Berman, który w okresie styczeń - maj 1945 roku był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a od maja 1945 roku podsekretarzem stanu w Prezydium Rady Ministrów. Jego brat Adolf był członkiem partii Poalej Syjon-Lewica i na jej polecenie opuścił getto warszawskie we wrześniu 1942 roku, aby organizować pomoc dla ukrywających się Żydów. Znalazł się we władzach Rady Pomocy Żydom i - myślę - znał Zofię Kossak.

Pani Zofia po otrzymaniu listu (z zaproszeniem czy raczej wezwaniem na rozmowę) była przerażona. Doszła jednak do wniosku, że nie pozostaje jej nic innego jak jechać do Warszawy. Oboje z córką przyjechali więc do stolicy. Tutaj też rozmawiała ze znajomymi i przedstawicielami Delegatury Rządu, czy powinna udać się na tę rozmowę. Wszyscy byli tego samego zdania, że nie ma wyjścia: musi pójść. *Poszłyśmy więc na Pragę* - relacjonuje córka - *gdzie mieściło się owo ministerstwo. Budynek był postrzelany, pomalowany na brzydki nieokreślony kolor między brązem a brudną czerwienią. Matka pokazała portierowi wezwanie. Natychmiast zeszła po nią sekretarka. Ja zostałam na dole, siedząc przy oknie na kaloryferze. Po dość krótkim czasie matka pojawiła się na schodach, ruszając się powoli, jakby była załamana. Zobaczyła mnie i przystanęła, przykładając rękę do czoła gestem głębokiej depresji. "Żebyś ty wiedziała, co to wszystko znaczy!" wydawała mi się przekazywać z daleka. Podeszła wreszcie do mnie. Wyszłyśmy na ulicę, gdzie dokładnie zrelacjonowała przebieg "rozmowy".*

Minister przyjął matkę od razu. Suchym tonem oznajmił:

- Proszę Pani, ja nie mam czasu do stracenia. Mam wobec Pani dług rodzinny, który chcę spłacić. Uratowała Pani z getta dzieci mojego brata, który zginął. Te dzieci żyją tylko dzięki Pani. W związku z tym odwzajemniam się Pani wszystkim, co mogę dla Pani zrobić, tzn. zapewnię Pani wyjazd, jeżeli tylko zechce Pani z Polski wyjechać.

Matka była zupełnie zaskoczona. Opuścić kraj, dla którego tyleśmy walczyli, w momencie, kiedy tak dużo jest do zrobienia, wyrzec się przyjaciół konspiracyjnych, przywiązania do kraju? Wyjeżdżając w tej sytuacji człowiek czułby się jak dezertier. Skrajnie zmieszana, matka siedziała w osłupiałym milczeniu, nic nie odpowiadała.

Berman niecierpliwił się.

- Mnie się spieszy, mam dużo pracy. Jaka jest Pani decyzja? Pani się waha? A ja Pani radzę wyjechać - dodał jednoznaczny tonem.

- No tak... bąknęła - ale też mam córkę...

- Nie ma problemu, córka też pojedzie.

To mówiąc wygryzłolił coś na jakimś świstku i zapytał:

- Czy uważa Pani, że splaciłem swój dług?

Ledwo z siebie wydusiła, że chyba tak.

Nie znaczyło to jednak, że była zdecydowana na wyjazd. Sekretarka, do której poszła z owym świstkiem, bardzo uprzejmie powiedziała, że możemy przyjść kiedykolwiek z fotografiami, po czym od ręki wystawi paszporty.

Propozycja Bermana była wielkim zaskoczeniem. Teraz też pisarka radziła się wszystkim, jak powinna postąpić: wyjechać czy zostać w kraju. Odrzucenie oferty wyjazdu równałoby się wylądowaniu w więzieniu. Znowu prosiła o radę w Delegaturze Rządu, odbyła kilka narad z krewnymi, pojechała nawet do Poznania, aby sprawę przedyskutować z prymasem Augustem Hlondem, który 20 lipca 1945 roku powrócił do kraju. Odwiedziła też tam Szczepana Jeleńskiego z Księgarni Św. Wojciecha. Wszyscy jednoznacznie twierdzili, że w tej sytuacji powinna wyjechać, że może bardziej przydać się Polsce przebywając za granicą.

Wróciły więc do Częstochowy. Po dwóch tygodniach znowu były w Warszawie. Zamieszkały u kuzynki rzeźbiarki Zofii Trzecińskiej-Kamińskiej i Zygmunta Kamińskiego (malarza i grafika, profesora rysunku w Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej) na ul. Lwowskiej 5. Trzymała je na duchu tylko świadomość, że może dowiedzą się o losach Zygmunta i Witolda Szatkowskiego. Pani Zofia nie wiedziała, co się dzieje z mężem i jakie były losy syna po upadku powstania.

Udały się z fotografiami po obiecane paszporty. Wydano im kartki szarego papieru, na których napisano na maszynie nagłówki, ich dane personalne i słowa "zezwoleń na wyjazd". O transport musiały się już zatroszczyć same. Odwiedziły więc kilka ambasad, mieszczących się wówczas w hotelu "Polonia". Przychylnie do ich prośby odnieśli się Szwedzi i obiecali pomóc w znalezieniu środka transportu. I rzeczywiście, na początku sierpnia powiadomiono je, że 15 sierpnia do Sztokholmu będzie leciał samolot Szwedzkiego Czerwonego Krzyża i mogą z niego skorzystać.

Ostatnie dni przed wyjazdem spędziły na pożegnaniach z rodziną, znajomymi. Pani Zofia była przekonana, że będzie mogła wrócić do kraju dość szybko. Planowała także wyjazd do Ameryki. Latem 1945 roku przyjechał z Nowego Jorku do kraju wydawca Marian Kister. W jego "Royu" w czasie wojny ukazało się kilka książek Zofii Kossak. Jako honorarium wręczył pisarce pierścionek z brylantem. Obiecał także, że pozostawi im pewną sumę w Londynie. To on również zaproponował rozważenie przyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Możliwość ta była rozważana i później, jednak projekt nie został nigdy zrealizowany.

Przed wyjazdem obie panie starały się zdobyć jak największą liczbę fotografii, przedstawiających zburzoną Warszawę. Liczyły na to, że pokazując ogrom zniszczeń w naszym kraju, uzyskają większą pomoc dla Polski. Zabierały też listy w tej sprawie, które złożyły potem w Polskim Czerwonym Krzyżu w Londynie, lecz bez efektu.

Ale na razie wylądowały 15 sierpnia w Sztokholmie...



Zofia Kossak, fotografia z czasów okupacji (oryg. w zbiorach Marii Kann)



W mieszkaniu Zofii Kossak w Warszawie przy ul. Idżkowskiego 4, zima 1940/41. Od prawej: Zofia Kossak, Anna Szatkowska (córka), Maciek Cybulski, Helena Podlaska, N.N., Jadwiga Witkiewiczowa, Anna Kossak (matka Zofii). Oryg. w zbiorach Muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich.



Z. Kossak z rodziną i łączniczkami w Zielonce, sierpień 1943 r. Siedzą: Z. Kossak z psem Fopcią, Maria Lasocka "Anulka", Anna Kossakowa, Stanisława Wdowieńska "Irka"; stoją: Maria Tomaszewska "Urszula", Zofia Janiakówna, Witold Szatkowski (syn). Oryg. w zbiorach Muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich.



Zofia Kossak - fotografia wysłana mężowi Zygmuntowi Szatkowskiemu do ołagiu. Oryg. w zbiorach Muzeum Z. Kossak w Górkach Wielkich.



Anna i Witold Szatkowscy, dzieci Zofii Kossak i Zygmunta Szatkowskiego. Fotografia wysłana Ojcu do oflagu. Oryg. w zbiorach Muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich.



Anna Lasocka i Zofia Kossak z Fopcią. Foto ze zbiorów Teresy Lasockiej



Witold Hulewicz w Zakopanem. Foto ze zbiorów A. Feillowej



Witold Bińkowski. Fot. ze zbiorów A. Kunerta



Władysław Bartoszewski, fot. ze zbiorów A. Kunerta

(Neg. wszystkich fotografii w zbiorach Muzeum Niepodległości, repr. T. Stani).